

**tytuł: "Kobieta w jeziorze"**  
**autor: Raymond Chandler**  
**Przeł. Andrzej Zerwałd**

**Warszawa 1990**  
**Pisał R. Duń**  
**Korekty dokonały**  
**K. Kruk**  
**i K. Markiewicz**

**\* \* \***

## **I. Nie powiadamiając władz**

**Rozsiadłem się właśnie złożywszy nowiutkie buty na blacie biurka, kiedy wpadł Violets M'Gee. Sierpniowy ranek był ospały, upalny i parny, nawet prześcieradło kąpielowe nie wystarczało do ocierania potu z karku.**

**- Jak leci, chłopcze? - spytał, jak zwykle, Violets.**

**- Od tygodnia nic się nie dzieje, co? Pewien facet, nazywa się Howard Melton i pracuje w Avenant Building, zgubił żonę. Jest dyrektorem filii Doreme Cosmetic Company. Ma swoje powody, żeby oficjalnie nie zgłaszać zaginięcia małżonki. Szef go trochę zna. Przejdź się tam, tylko przedtem zdejmij te buty. Wyglądasz w nich, jakbyś się wybierał na paradę. Violets M'Gee pracuje jako śledź w wydziale zabójstw w Biurze Szeryfa i gdyby nie drobne zlecenia, które mi czasem daje z dobroci serca, z trudem**

wiązałbym koniec z końcem. Ta sprawa zapowiadała się trochę inaczej, zdjąłem więc nogi z biurka, i jeszcze raz wytarłem kark i wyszedłem. Avenant Building stoi na rogu OLive i Sixth, prowadzi do niego chodnik w czarno-białą szachownicę. Windy obsługują tu dziewczyny w szarych jedwabnych rubaszkach i bufiastych beretach, jakich używają artyści malarze, żeby farba nie chlapała im na włosy. Doreme Cosmetic Company zajmowała ładny lokal na szóstym piętrze. Recepcję z lustrzanymi ścianami i perskimi dywanami zdobiły wazony z kwiatami i dziwaczne połyskujące rzeźby. Miła blondyneczka siedziała przy centralce telefonicznej, wbudowanej w duże biurko, na którym stały kwiaty i umieszczona pod kątem tabliczka z napisem: "Panna Van de Graaf". Panna miała okulary ~a la Harold Lloyd, włosy ściągnięte do tyłu i związane wysoko, w strefie wiecznego śniegu. Powiedziała, że pan Howard Melton jest akurat na konferencji, ale ona może przy sposobności podać mu moją wizytówkę, i spytała, w jakiej przyszedłem sprawie. Odparłem, że nie mam wizytówki, a nazywam się John Dalmas, od pana Westa.

- Kto to taki, pan West? - zapytała oziębłe - czy pan Melton go zna?
- Nie mam pojęcia, siostrze. Nie znając pana Meltona, nie znam jego przyjaciół.
- Jakiego rodzaju sprawa pana sprowadza?
- Osobista.

**- Aha. Szybko położyła parafę na trzech papierkach leżących na biurku, żeby nie cisnąć we mnie kałamarzem. Wyszedłem na korytarz i usiadłem w niebieskim skórzanym fotelu z chromowanymi poręczami. Wyglądem, zapachem i w dotyku niezwykle wprost przypominał fotel fryzjerski. Mniej więcej po pół godzinie otwarły się drzwi za metalową balustradą i tyłem wyszło dwóch zaśmiewających się mężczyzn. Trzeci przytrzymał drzwi i wtórował im. Uścisnęli sobie ręce, tamci dwaj opuścili lokal, a trzeci w mgnieniu oka zmasał uśmiech z twarzy i spojrzał na pannę Van de Graaf.**

**- Są jakieś sprawy? - spytał władczy głosem? Sekretarka zaszeleściła papierami.**

**- Nie, proszę pana. Jakiś pan... Dalmas chciałby się z panem widzieć. Od pana Westa. W sprawie osobistej.**

**- Nie znam takiego - warknął szef. - Mam już tyle polis ubezpieczeniowych, że nie nadążam z płaceniem stawek. Popatrzył na mnie krótko i nieprzyjaźnie, po czym zniknął w swoim pokoju, trzaskając drzwiami. Panna Van de Graaf uśmiechnęła się do mnie z lekkim żalem.**

**Zapaliłem papierosa i dla odmiany założyłem lewą nogę na prawą. Po pięciu minutach drzwi za balustradą znów się otworzyły, mężczyzna wyszedł w kapeluszu na głowie i obrażonym tonem oznajmił, że wróci za pół godziny. Minął bramkę w balustradzie i ruszył w stronę**

wyjścia, wtem jednak, zrobiwszy zgrabny zwrot, podszedł do mnie wielkimi krokami. Patrzył z góry - potężny mężczyzna, sześć stóp i dwa cale, odpowiedniej do wzrostu budowy. Gładko wymasowana twarz nosiła ślady hulaszczego życia. Oczy miał czarne, surowe i zdradliwe.

- Pan chciał się ze mną widzieć? Wstałem, wyciągnąłem portfel i podałem mu wizytówkę. Obejrzał ją i obrócił w palcach. Jego wzrok wyrażał zamyślenie.

- Kto to jest pan West?

- Nie mam pojęcia. Spojrzał mi prosto w oczy, surowo, ale z zainteresowaniem.

- To dobry pomysł - powiedział. - Chodźmy do gabinetu. Sekretarka tak się zdenerwowała, że kiedy przechodziliśmy obok niej przez bramkę w balustradzie, próbowała parafować trzy papierki naraz. Gabinet był długi, mroczny i cichy, ale bynajmniej nie chłodny. Na ścianie wisiała duża fotografia, przedstawiająca ponurego typa, który w swoim czasie z niejednego pieca chleb jadł. Potężny mężczyzna przeszedł za biurko, warte przynajmniej osiemset dolarów, i usadowił się w wyściełanym fotelu dyrektorskim z wysokim oparciem. Popchnął ku mnie skrzyneczkę z cygarami. Zapaliłem, a on przyglądał mi się przez chwilę zimnym, nieruchomym wzrokiem.

- To sprawa bardzo poufna - zaczął.

- Aha. Jeszcze raz obejrzał moją wizytówkę i wsunął ją do portfela ze złoceniami.

- Kto pana przysłał?
- Przyjaciel z Biura Szeryfa.
- Musiałbym wiedzieć o panu troszkę więcej. Podaliśmy mu dwa nazwiska i telefony. Sięgnął po aparat, poprosił o miasto i sam wykręcił numery. Zastał oba moje kontakty. Po czterech minutach odłożył słuchawkę i znów wyciągnął się w fotelu. Obaj otarliśmy sobie kark z potu.
- Na razie wszystko się zgadza
- powiedział. - Teraz niech mi pan udowodni, że jest pan tym, za kogo się podaje. Wyjąłem portfel i pokazałem mały fotostat licencji. To mu wystarczyło.
- Jaka jest pańska stawka?
- Dwadzieścia pięć dolców dziennie i zwrot kosztów.
- To za dużo. Jakiego rodzaju koszty wchodzi w grę?
- Benzyna i olej, od czasu do czasu łapówka, posiłki i whisky. Głównie whisky.
- Czy pan nic nie je, kiedy pan nie pracuje?
- Jem, ale nie tak dobrze. Uśmiechnął się. W jego uśmiechu, tak jak we wzroku, było coś lodowatego.
- Chyba się jakoś dogadamy - stwierdził. Otworzył szufladę i wyjął butelkę szkockiej. Napiliśmy się. Postawił butelkę na podłodze, otarł usta, zapalił papierosa ozdobionego monogramem i zaciągnął się z lubością.
- Niech pan spuści do piętnastu - zaproponował.
- W dzisiejszych czasach... I proszę nie

**przesadzać z piciem.**

**- Chciałem pana nabrać - stwierdziłem. - Człowiekowi, którego nie da się nabrać, nie można ufać. Znów się uśmiechnął.**

**- Umowa stoi. Ale pierwszy warunek to obietnica, że w żadnym wypadku nie będzie się pan kontaktował ze swoimi przyjaciółmi gliniarzami.**

**- Zgoda, jeśli pan nikogo nie zamordował. Wybuchnął śmiechem.**

**- Na razie nikogo. Ale uprzedzam, że twarde ze mnie gość. Chcę, żeby pan trafił na ślad mojej żony, ustalił, gdzie obecnie przebywa i co robi, w dodatku tak, by ona o tym nie wiedziała. Znikła jedenaście dni temu - dwunastego sierpnia - z naszego domku letniego nad jeziorem Little Fawn. To jezioro, które należy do mnie i dwóch innych facetów. Trzy mile od Puma Point. Oczywiście wie pan, gdzie to jest.**

**- W górach San Bernardino, jakieś czterdzieści mil od miasteczka San Bernardino.**

**- Tak. Strzepnął popiół na blat biurka i pochylił się, żeby go zdmuchnąć na podłogę.**

**- Little Fawn ma zaledwie nieco ponad ćwierć mili długości. Zbudowaliśmy nad nim tamę, licząc na wzrost cen gruntu - ale się przeliczyliśmy. Są tam cztery domki. Mój, dwa, które należą do moich przyjaciół, oba tego lata nie zamieszkane, i czwarty, nad tym brzegiem bliżej szosy. Mieszka w nim niejaki William Haines z żoną. Inwalida wojenny na rencie. Nie**

**płaci czynszu, za to pilnuje domków. Moja żona spędzała tam lato i miała wrócić do miasta dwunastego z powodu obowiązków towarzyskich, jakie ją czekały w sobotę. Nie wróciła. Kiwnąłem głową. Mężczyzna otworzył zamykaną na klucz szufladę i wyjął kopertę, a z niej zdjęcie i telegram, który pchnął w moją stronę. Wysłany 15 sierpnia o #/9#18, był zaadresowany do Howarda Meltona, 715 Avenant Building Los Angeles, i brzmiał: "Jadę po meksykański rozwód stop wychodzę za Lance'a stop żegnaj i powodzenia stop Julia". Odłożyłem żółty blankiet na biurko.**

**- Julia to imię mojej żony - wyjaśnił Melton.**

**- A kto to jest Lance?**

**- Lancelot Goodwin. Jeszcze rok temu był moim osobistym sekretarzem. Potem dostał trochę forsy i odszedł. Od dawna wiem, że Julia i on czuli do siebie miętę, o ile można to tak nazwać.**

**- Ależ proszę, jeśli o mnie chodzi. Popchnął zdjęcie przez szerokość biurka. Amatorska fotografia na błyszczącym papierze przedstawiała szczupłą, drobną blondynkę i wysokiego, smukłego, przystojnego, może odrobinę za bardzo przystojnego, bruneta w wieku lat trzydziestu pięciu. Blondynka mogła mieć od osiemnastu do czterdziestu lat. Taki typ urody. Z tych, co zachowują linię, nie odmawiając sobie jedzenia. Miała na sobie kostium kąpielowy, który nie zmuszał do natężania wyobraźni, Mężczyzna był w**

**kąpielówkach. Siedzieli na piasku, pod pasiastym plażowym parasolem. Położyłem zdjęcie na telegramie.**

**- Oto wszystkie dowody rzeczowe - powiedział Melton - ale nie wszystkie fakty. Napije się pan? Nalał, wypiliśmy. Znów odstawił butelkę na podłogę. Wtem zadzwonił telefon. Rozmawiał krótko, potem zastukał w widełki i poprosił sekretarkę, żeby go z nikim nie łączyła.**

**- Z początku nic więcej się nie działo - podjął. - Ale w zeszły piątek spotkałem na ulicy Lance'a Goodwina. Twierdzi, że od paru miesięcy nie widział się z Julią. Wierzę mu, bo Lance to facet bez kompleksów, który niczego się nie boi. Stać by go było na to, żeby w razie czego powiedzieć mi prawdę prosto w oczy. Przy tym myślę, że on sam będzie trzymał język za zębami.**

**- Czy mogli tu wchodzić w grę jacyś inni mężczyźni?**

**- Nie. Jeśli jacyś byli, ja nic o tym nie wiem. Podejrzewam, że Julia trafiła gdzieś do pudła i udało się jej, za pomocą łapówki, albo w inny sposób, ukryć swoją tożsamość.**

**- Do pudła? Za co? Zawahał się.**

**- Julia jest kleptomanką. - Powiedział spokojnie po chwili.**

**- Nieszkodliwą i tylko od czasu do czasu. Przeważnie wtedy, gdy za dużo pije. Miewa takie okresy. Dotąd próbowała swoich sztuczek tu, w Los Angeles, w dużych domach towarowych, gdzie mamy otwarte konto. Złapali**



**ją parę razy, ale zawsze się wyłgała i sprzedawcy wystawiali rachunek. Nie było dotychczas większego skandalu, którego bym nie umiał zatuszować. Ale w obcym mieście... Przerwał i zmarszczył brwi.**

**- Muszę uważać, żeby nie stracić posady w Doreme - stwierdził.**

**- Czy kiedyś jej zdejmowano?**

**- Co proszę?**

**- Czy zdejmowano jej odciski palców?**

**- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedział, wyraźnie zaniepokojony.**

**- A ten Goodwin wie o jej ubocznym hobby?**

**- Trudno powiedzieć. Mam nadzieję, że nie.**

**Sam, rzecz prosta, nigdy o niczym takim ze mną nie rozmawiał.**

**- Chciałbym dostać jego adres.**

**- Jest w książce telefonicznej. Goodwin ma domek w rejonie Chevy Chase, koło Glendale.**

**Na zupełnym odludziu. Mam podejrzenie, że Lance to samotny myśliwy. Wszystko ładnie się układało, ale nie powiedziałem tego na głos. Nie wiedziałem, skąd w najbliższym czasie mógłbym się spodziewać jakichś innych uczciwie zarobionych pieniędzy.**

**- Był pan oczywiście nad Little Fawn po zaginięciu żony? Zaskoczyłem go tym pytaniem.**

**- Prawdę mówiąc - nie. Nie widziałem powodu.**

**Dopóki nie spotkałem Lance'a przed wejściem do Klubu Sportowego, przypuszczałem, że on i Julia są gdzieś razem, może nawet już po ślubie.**

**Rozwody meksykańskie załatwia się szybko.**

**- A co z pieniędzmi? Miała przy sobie dużo forsy?**

**- Nie wiem. Julia odziedziczyła sporo pieniędzy po ojcu. Sądzę, że w razie potrzeby mogłaby dysponować grubszą forszą.**

**- Rozumiem. A jak była ubrana**

**- nie, tego nie może pan wiedzieć. Potrząsnął głową.**

**- Nie widziałem jej od dwóch tygodni. Zwykle nosiła ciemne rzeczy. Może Haines panu powie. Przypuszczam, że on wie o jej zaginięciu. Mam nadzieję, że będzie umiał trzymać gębę na kłódkę. Uśmiechnął się krzywo.**

**- Miała - kontynuował po chwili - ośmiokątny platynowy zegarek na bransoletce z dużych płytek. Prezent urodzinowy. W środku było wyryte jej imię. Miała też pierścionek z diamentem i szmaragdami oraz platynową ślubną obrączkę z wygrawerowanym napisem: "Howard i Julia Meltonowie, 27 lipca 1926".**

**- Ale nie podejrzewa pan jakiejś nieczystej sprawy?**

**- Nie - zaprzeczył i odrobinę się zaczerwienił. - Już mówiłem, co podejrzewam.**

**- Co mam robić, jeśli siedzi gdzieś w pudle? Zawiadomić pana i czekać?**

**- Oczywiście. A jeśli jest na wolności, niech pan jej nie spuszcza z oka, dopóki nie przyjadę. Myślę, że dam sobie radę w każdej sytuacji.**

**- Taak. W końcu kawał z pana chłopca. Mówi**

**pan zatem, że żona wyjechała z nad jeziora dwunastego sierpnia. Ale sam pan tam nie był. Więc wyjechała - czy tylko miała wyjechać - czy też wnioskuje pan z daty telegramu?**

**- Brawo. Zapomniałem o jednym. Julia faktycznie wyjechała dwunastego. Nie lubiła jeździć nocą, więc wyruszyła po południu i zatrzymała się w hotelu Olimpia, gdzie oczekiwała na pociąg. Wiem o tym, ponieważ po tygodniu zadzwonił do mnie hotelarz, poinformował, że auto stoi u nich w garażu i spytał, kiedy je odbiorę. Powiedziałem, że wpadnę, jak będę miał czas.**

**- No cóż, panie Melton. Myślę, że rozejrzę się po okolicy, a najpierw sprawdzę tego Lancelota Goodwina. Być może nie powiedział panu całej prawdy. Melton wręczył mi książkę telefoniczną okolic Los Angeles. Znalazłem. Lancelot Goodwin mieszkał przy Chester Lane 3416. Nie znałem tej ulicy, ale w samochodzie miałem mapę.**

**- Pojadę tam i trochę powęszę. Przydałoby mi się nieco forsy na koncie. Powiedzmy stówę.**

**- Na początek wystarczy pięćdziesiąt. Wyjął portfel ze złoceniami i wręczył mi dwie dwudziestki oraz dziesięciodolarówkę.**

**- Wezmę od pana pokwitowanie, tak dla porządku. Miał w biurku kwitariusz, napisał, co tam chciał, a ja podpisałem. Schowałem oba dowody rzeczowe do kieszeni i wstałem.**

**Wymieniliśmy uścisk dłoni. Zostawiłem go,**

**czując, że jest to facet, który myli się rzadko,  
zwłaszcza w sprawach pieniężnych. Kiedy  
wychodziłem, sekretarka spojrzała na mnie  
koso. Myślałem o tym z niepokojem prawie do  
samej windy.**

**\* \* \***

## **II. Wymarły dom**

**Samochód stał na parkingu po drugiej stronie ulicy, pojechałem więc Fifth w kierunku północnym, skręciłem na lewo od Flower, potem zjechałem w Glendale Boulevard i wreszcie znalazłem się w samym Glendale. Była pora lunchu, więc zatrzymałem się i zjadłem kanapkę. Chevy Chase to głęboki kanion przerzynający podgórze, na pograniczu Glendale i Pasadeny. Teren jest gęsto zalesiony, a boczne drogi bywają ciemne i zarośnięte. Chester Lane okazała się tak ciemna, jakby biegła przez sekwojową puszcę. Na samym jej końcu mieścił się domek Goodwina - mały bungalow w stylu angielskim, ze stromym dachem i oprawionymi w ołów szybami, które nie przepuszczałyby wiele światła, nawet gdyby było co przepuszczać. Domek przycupnął między dwoma wzgórzami, od frontu, prawie na samej werandzie, rósł olbrzymi dąb. Istne gniazdko rozkoszy. Stojący obok domku garaż był zamknięty. Poszedłem zygzakowatą ścieżką, wyłożoną kamieniami, i nacisnąłem dzwonek. Słyszałem, jak dzwoni gdzieś w głębi, tym głuchym dźwiękiem, charakterystycznym dla dzwonek w opustoszałych domach. Spróbowałem jeszcze dwa razy. Nikt nie otworzył. Przedrzeźniacz usiadł na ładnie utrzymanym trawniku przed domkiem, wygrzebał sobie robaka i odfrunął. Ktoś zapalił**

silnik samochodu, gdzieś za zakrętem, poza zasięgiem mego wzroku. Po drugiej stronie ulicy stał nowiutki dom, z tabliczką "Na sprzedaż" wbitą w kupę nawozu przemieszanego z nasionami trawy. W pobliżu nie było innych domów. Jeszcze raz nacisnąłem dzwonek i krótko załomotałem kołatką w kształcie wystającego z lwiej paszczy pierścienia. Potem zszedłem z werandy i przez szparę w drzwiach zajrzałem do garażu. Stał tam jakiś lśniący w przyćmionym świetle samochód. Węszyłem dalej; za domkiem zobaczyłem jeszcze dwa dęby, palenisko na śmieci, a pod jednym z dębów zielony stół ogrodowy i trzy krzesła. Ten zacieniony zakątek był tak cichy i spokojny, że wzięła mnie ochota odpocząć. Podeszedłem jednak do tylnych drzwi domku, oszklonych w górnej części i zamykanych na sprężynowy zatrask, by spróbować przekręcić gałkę. To nie był mądry pomysł. Drzwi ustąpiły, więc zaczerpnąłem głęboko powietrza i wszedłem. Ten Lancelot Goodwin będzie musiał wysłuchać moich argumentów, jeśli to pułapka. A jeśli nie, chciałem się trochę rozejrzeć po jego włościach. Coś mnie w tym człowieku niepokoiło, może jego imię? Drzwi prowadziły do sieni, przedzielonej kilkoma wąskimi i wysokimi przepierzeniami. Z sieni inne drzwi, też na zatrask, i też nie zamknięte, wiodły do kuchni z jaskrawymi kafelkami i obudowaną drewnem kuchenką gazową. Obok zlewu stało mnóstwo

**pustych butelek. Były tu ponadto dwie pary wahadłowych drzwi. Pchnąłem te, które wiodły ku frontowi domku. Ujrzałem jadalnię z barkiem, na którym stało jeszcze więcej butelek, tym razem wcale nie pustych. Salonik znajdował się po mojej prawej, za łukowatym wejściem. Nawet w środku dnia było w nim ciemno. Ładnie umeblowany, miał wbudowane w ścianę półki, pełne książek, których nie kupowano całymi seriami. W kącie stało meblowe radio, a na nim szklanka do połowy wypełniona bursztynowym płynem. W środku pływał jeszcze lód. Radio buczało z cicha, za skalą jarzyło się światło. Odbiornik był włączony, ale zupełnie ściszony. Wszystko to wyglądało zabawnie. Obróciłem się i w lewym rogu pokoju zobaczyłem coś jeszcze zabawniejszego. W głębokim fotelu obitym brokatem, opierając stopy w kapciach na podobnie obitym stołeczku, siedział jakiś mężczyzna. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulkę polo i kremowe spodnie z białym paskiem. Lewa ręka spoczywała na szerokiej poręczy fotela, podczas gdy prawa zwisała ociężale z drugiej poręczy na jednobarwny, matoworóżowy dywan. Był to szczupły brunet, przystojny i dobrze zbudowany. Jeden z tych facetów, co szybko się poruszają i są silniejsi, niż na to wyglądają. Lekko rozwarte wargi odsłaniały krawędzie zębów. Głowę przechylił nieco, jakby się zdrzemnął po paru szklaneczkach przy**

dźwiękach muzyki. Był jeszcze rewolwer, na podłodze, obok prawej ręki mężczyzny, no i była też czerwona dziura z osmalonymi brzegami, w samym środku jego czoła. Z brody spokojnie kapłała krew, padając na białą koszulkę polo. Przez całą minutę - która w takich okolicznościach może być długa jak kciuk kręgarza - nie drgnął mi żaden mięsień. Jeśli w ogóle oddychałem, to tylko ukradkiem. Tkwiłem w miejscu, sflaczały niczym pęknięty wrzód, i przyglądałem się, jak krew pana Lancelota Goodwina zbiera się na jego brodzie w małe krople, przypominające perełki, a potem powoli, raz po raz, spada, powiększając sporą czerwoną plamę, zakłócającą biel koszulki polo. Miałem wrażenie, że w ciągu tej minuty krew skapywała coraz wolniej. W końcu podniosłem jedną nogę, wydobywając ją z cementu, w którym ugrzęzła, zrobiłem krok, potem dociągnąłem z trudem drugą jak kulę u łańcucha. Wlokłem się przez mroczny, pogrążony w ciszy pokój. Kiedy podszedłem bliżej, coś zamigotało mu w oczach. Pochyliłem się nad nim, chcąc napotkać jego wzrok. Daremnie. Nigdy się to nie udaje, jeśli oczy są martwe. Zawsze patrzą trochę w bok albo w górę, albo w dół. Dotknąłem jego twarzy. Była ciepła i nieco wilgotna. Pewnie od alkoholu. Nie żył najwyżej od dwudziestu minut. Zrobiłem szybki unik, ogarnięty wrażeniem, że ktoś czai się za mną z maczugą, ale nikogo nie było. Panowała cisza. Wypełniała cały pokój, wprost



się z niego wylewała. Za oknem na drzewie  
zaćwierkał ptak, ale to tylko pogłębiło tę ciszę.  
Można ją było krajać jak chleb i smarować jak  
masło. Zacząłem rozglądać się po pokoju. Na  
podłodze, przed gipsowym kominkiem, leżała  
odwrócona fotografia w srebrnej ramce.  
Podniosłem ją przez chusteczkę i obejrzałem.  
Szkło pękło na ukos przez całą długość. Zdjęcie  
przedstawiało szczupłą blondynkę o  
niebezpiecznym uśmiechu. Wyciągnąłem fotkę,  
którą dał mi Howard Melton, i porównałem. Nie  
miałem wątpliwości, że to ta sama twarz, ale  
wyraz miała inny, zresztą był to dość pospolity  
typ urody. Ostrożnie zaniósłem zdjęcie do ładnie  
umeblowanej sypialni i otwarłem szufladę  
komody na wysokich nóżkach. Wyjąłem je z  
ramki, a samą ramkę starannie wytarłem  
chusteczką i wetknąłem pod stertę koszul. Może  
niezbyt mądrze, ale wydawało mi się, że tak  
będzie lepiej. Nie było chyba powodu do  
pośpiechu. Gdyby ktoś usłyszał i rozpoznał  
strzał, patrol policyjny już dawno by się zjawił.  
Wziąłem fotografię do łazienki, zmniejszyłem ją,  
posłużywszy się scyzorykiem, skrawki papieru  
wrzuciłem do ubikacji i spuściłem wodę. To, co  
zostało ze zdjęcia, wsunąłem do kieszeni koszuli  
i wróciłem do saloniku. Na niskim stoliczku koło  
lewej ręki nieboszczyka stała pusta szklanka.  
Powinny na niej pozostać jego odciski palców.  
Zarazem jednak ktoś inny mógł z niej pić i  
zostawić swoje. Oczywiście - kobieta. Siedziała

na poręczy fotela, uśmiechając się słodko i przymilnie, a rewolwer kryła za plecami. To musiała być kobieta. Mężczyzna nie zastrzeliłby go w tak zupełnie rozluźnionej pozycji. Domyślałem się, co to za kobieta, i nie spodobało mi się, że zostawiła na podłodze swoje zdjęcie. To reklama w kiepskim stylu. Nie mogłem ryzykować ze szklanką. Wytarłem ją starannie i zrobiłem coś, co mi wcale się nie uśmiechało. Włożyłem mu szklankę w dłoń, po czym odstawiłem ją na stolik. Powtórzyłem tę operację z rewolwerem. Kiedy puściłem dłoń nieboszczyka, która przez chwilę była dłonią strzelca, zakolysała się jak wahadło w zegarze pradziadka. Podszedłem do radia i przetarłem je z wierzchu. Pomyślałem, że była wyjątkowo przebiegła, że to jakaś kobieta całkiem innego pokroju, jeśli w ogóle bywają kobiety innego pokroju. Wybrałem cztery niedopałki ze śladami szminki w odcieniu zwanym Carmen - szminki dla blondynek. Wyniosłem je do łazienki i powierzyłem miastu. Powycierałem ręcznikami niektóre błyszczące urządzenia łazienkowe, zrobiłem to samo z klamką przy drzwiach wejściowych i uznałem, że mieszkanie jest czyste. Nie mogłem przecież powycierać dokładnie całego cholernego domku. Zatrzymałem się jeszcze, żeby popatrzeć na Lancelota Goodwina. Krew przestała płynąć. Ostatnia kropla na brodzie nie miała już nigdy opaść. Będzie tak wisiała, coraz ciemniejsza,



**pocztę do okienka ze znaczkami. Wciągnęła powietrze tak głośno, że mało mi nie pękły bębenki. Potem była pauza, coś zaklekotało i odezwał się dźwięczny, oficjalny głos Meltona.**

**- Tak? Mówi Melton. Słucham.**

**- Muszę się z panem szybko zobaczyć.**

**- O co chodzi? - burknął.**

**- Powiedziałem to, co pan słyszał. Zaszły pewne nowe, jak to mówią chłopcy, okoliczności. Wie pan chyba, z kim pan rozmawia?**

**- Ależ tak, wiem. Chwileczkę. Muszę zajrzeć do terminarza.**

**- Do diabła z terminarzem - powiedziałem. - Sprawa jest poważna. Mam dość oleju w głowie. Nie wywracałbym panu porządku dnia, gdyby chodziło o głupstwo.**

**- Klub Sportowy - za dziesięć minut - oznajmił lakonicznie. - Niech mnie wywołają z czytelni.**

**- Droga zajmie mi trochę więcej. Odłożyłem słuchawkę, zanim zdążył zaprotestować. W samej rzeczy dojechałem po dwudziestu minutach. Poślaniec w hallu Klubu Sportowego wskoczył do staromodnej windy, przypominającej otwartą klatkę i po chwili był już z powrotem. Zawiózł mnie na trzecie piętro i pokazał drogę do czytelni.**

**- Po lewej stronie sali, proszę pana. Czytelnia nie była przeznaczona tylko do lektury, choć na długim mahoniowym stole leżały gazety i czasopisma, w oszklonych gablotach stały oprawne w skórę roczniki, a na ścianie wisiał**

**olejny portret założyciela klubu, oświetlony z góry małą lampką z abażurem. Większą część sali zajmowały przytulne zakątki, w których stały olbrzymie miękkie fotele skórzane z wysokimi oparciami, a w nich w spokoju ducha drzemali weterani sportu z twarzami fioletowymi ze starości i wskutek nadciśnienia. Po cichu przemknąłem się przez czytelnię.**

**Melton siedział w lewym krańcu, w odosobnionym zakątku między regałami, plecami do sali, a fotel, mimo że wysoki, nie całkiem zasłaniał jego dużą głowę bruneta. Obok dostawiono drugi fotel. Wślizgnąłem się na siedzenie i mrugnąłem do Meltona.**

**- Rozmawiajmy szeptem - polecił. - To miejsce popołudniowych drzemek. No więc, co się stało? Wynająłem pana po to, żeby sobie oszczędzić kłopotów, a nie przysporzyć nowych.**

**- Zgadza się - stwierdziłem i pochyliłem się ku jego twarzy. Pachniał whisky, ale przyjemnie.**

**- Ona go zastrzeliła. Lekko uniósł nieruchome brwi. Patrzył przed siebie twardym wzrokiem. Zęby miał mocno zaciśnięte. Westchnął, położył rękę na kolanie i uporczywie się w nią wpatrywał.**

**- Niech pan mówi - powiedział głosem twardym jak marmur. Obejrzałem się. Najbliższy staruszek drzemał nadal, a włoski w jego nosie drgały poświstując przy każdym wdechu i wydechu.**

**- Pojechałem do domku Goodwina. Nikt nie**

otwierał. Spróbowałem od tyłu. Było otwarte. Wszedłem. Radio włączone, ale ściszone. Dwie szklanki z alkoholem. Rozbita fotografia na podłodze przy kominku. Goodwin w fotelu, zastrzelony z bliska. Charakterystyczna rana. KOło jego prawej ręki na podłodze rewolwer. Automat kaliber dwadzieścia pięć - kobieca broń. Siedział tak, jakby nie wiedział, co mu się przydarzyło. Powycierałem szklanki, rewolwer, klamki, porobiłem odciski jego palców tam, gdzie powinny być, i uciekłem. Melton otwarł i zamknął usta. Zazgrzytał zębami. Zacisnął dłonie w pięści. Potem popatrzył na mnie surowo swymi czarnymi oczyma.

- Zdjęcie - powiedział ochryple. Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem mu z daleka fotografię.

- Julia - stwierdził. Wydał z siebie dziwny, przejmujący świst, a jego ręce pokryły się kroplami potu. Schowałem zdjęcie do kieszeni.

- I co teraz? - wyszeptał.

- Wszystko możliwe. Ktoś mógł mnie widzieć, ale nie jak wchodziłem, ani jak wychodziłem. Z tyłu rosną drzewa. Miejsce jest osłonięte. Czy żona miała taki rewolwer? Melton opuścił głowę i złożył ją w dłoniach. Trwał w bezruchu, po czym uniósł twarz, zakrył rozpostartymi palcami i przez nie mówił do ściany, w którąśmy się obaj wpatrywali.

- Tak. Ale nigdy go nie nosiła. Podejrzewam, że on ją sprowokował, ten śmierdzący szczur. Powiedział to bardzo spokojnie, bez emocji.

- Niezły z pana zawodnik - dodał. - Teraz to wygląda na samobójstwo, prawda?
- Trudno przesądzić. Nie mając podejrzanego, mogą to tak potraktować. Zrobią mu na ręce test parafinowy, żeby się przekonać, czy strzelał. Taka jest obecnie procedura. Ale test nie zawsze bywa skuteczny, zresztą bez podejrzanego mogą zlekceważyć wynik. Nie rozumiem tylko tej historii ze zdjęciem.
- Ja także - wyszeptał, wciąż przez palce. - Chyba nagle wpadła w panikę.
- Aha. Zdaje pan sobie sprawę, że nadstawiam karku? Jeśli sprawa się wyda, odbiorą mi licencję. Oczywiście jest jeszcze nikła szansa, że to naprawdę było samobójstwo. Ale on nie wygląda na takiego. Będzie pan musiał wyciągnąć wniosek, panie Melton. Zaśmiał się ponuro. Potem odwrócił głowę, żeby na mnie popatrzeć, ale wciąż trzymał ręce przy twarzy. Zmierzył mnie wzrokiem przez palce.
- Dlaczego pan zrobił tam porządek? - spytał spokojnie.
- Sam nie mam pojęcia. Myślę, że nabrałem antypatii do tamtego
- z fotografii. Pomyślałem, że nie jest wart tego, co grozi pańskiej żonie - i panu.
- Pięć stów jako premia - powiedział. Odchyliłem się w fotelu i spojrzałem na niego zimno.
- Nie chciałbym nalegać. - bywam czasem twardy, ale nie w takich sprawach. Czy jednak

**nic więcej pan dla mnie nie ma? Przez całą długą minutę milczał. Wstał, rozejrzał się po sali, włożył ręce do kieszeni, czymś zabrzączał, w końcu znów usiadł.**

**- Myli się pan, i to podwójnie**

**- odezwał się wreszcie. - Nie myślałem o szantażu i to nie miała być dola - za mała kwota. Czasy teraz ciężkie. Pan podjął dodatkowe ryzyko, a ja zaproponowałem dodatkowe wynagrodzenie. Niewykluczone, że Julia nie ma z tym nic wspólnego. To by tłumaczyło pozostawienie fotografii. W życiu Goodwina było wiele innych kobiet. Ale jeśli ta historia wyjdzie na jaw, i ja będę w nią wplątany, władze się do mnie dobiorą. Prowadzę delikatny interes, który ostatnio nie idzie najlepiej. Chętnie skorzystają z pretekstu.**

**- Nie o to chodzi - odparłem.**

**- Pytałem, czy nic więcej pan dla mnie nie ma. Wpatrywał się w podłogę.**

**- Tak. Jedną rzecz przemilczałem. Zdawało mi się, że nieważną. A teraz to mocno komplikuje sprawę. Parę dni temu, zaraz po tym, jak spotkałem Goodwina w mieście, zadzwoniono do mnie z banku i poinformowano, że pan Lancelot Goodwin pragnie zrealizować czek na tysiąc dolarów, płatne gotówką, wystawiony przez Julię Melton. Powiedziałem, że pani Melton wyjechała z Los Angeles, ale znam dobrze pana Goodwina i nie mam nic przeciwko realizacji czeku, jeśli tylko został poprawnie wypisany, a**



odbiorca ma dokumenty w porządku. W tych okolicznościach po prostu nie mogłem nic innego powiedzieć. Przypuszczam, że pieniądze wypłacono. Ale nie mam pewności.

- Myślałem, że Goodwin ma szmal. Melton wzruszył ramionami.

- Szantażysta kobiet, co? W dodatku żółtodziób, skoro bierze czeki. Myślę, że uda mi się rozegrać tę partię, panie Melton. Nie cierpię, kiedy te sępy z prasy żerują na takich historiach. Ale gdy dotrą do pana, ja się wycofuję, jeśli tylko będę się mógł wycofać. Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Dam panu od razu te pięćset dolarów. - stwierdził.

- Nie ma mowy. Zostałem wynajęty, żeby odszukać pańską żonę. Kiedy ją znajdę, wezmę na rękę pięćset dolarów, a o reszcie możemy zapomnieć.

- Przekona się pan, że można mi zaufać.

- Potrzebuję kartki polecającej do tego Hainesa, pańskiego sąsiada znad jeziora Little Fawn. Muszę udawać, że nigdy nie byłem w Chevy Chase. Przytaknął gestem i wstał. Podeszedł do stołu i wrócił z kartką opatrzoną nadrukiem klubu. "Sz. Pan William Haines, Little Fawn Drogi Billu, Wpuść, proszę, oddawcę tej kartki, pana Johna Dalmasa, do naszego domku i oprowadź go po okolicy. Pozdrowienia Howard Melton" Złożyłem kartkę na czworo i dołączyłem do zbiorów zgromadzonych tego

**dnia.**

- Nigdy panu tego nie zapomnę**
- oznajmił Melton, kładąc mi rękę na ramieniu. -  
Wybiera się pan tam od razu?**
- Chyba tak.**
- Co pan spodziewa się znaleźć?**
- Nic. Ale byłbym kpem, gdybym nie zaczął tam,  
gdzie zaczyna się trop.**
- Oczywiście. Haines to swój chłop, choć trochę  
gburowaty. Za bardzo pozwala sobą rządzić  
ładnej blondynce, która jest jego żoną.  
Powodzenia. Uścisnęliśmy sobie ręce. Dłoń miał  
oślizłą jak ryba w oleju.**

**\* \* \***

### **III. Mężczyzna z drewnianą nogą**

**W niecałe dwie godziny dojechałem do San Bernardino, gdzie po raz pierwszy w dziejach było prawie tak chłodno jak w Los Angeles i trochę mniej parno. Napilem się kawy, kupiłem butelkę whisky, nabrałem benzyny i ruszyłem w góry. Aż do Bubling Springs niebo spowijały chmury. Potem nagle się przejaśniło, z gór wiał chłodny wiaterek, kiedy wreszcie dojechałem do potężnej tamy i mogłem rzucić okiem na niebieską powierzchnię jeziora Puma. Pływały po niej kajaki, a łódki z zewnętrznymi silnikami i motorówki wyścigowe burzyły wodę, robiąc wiele hałasu o nic. Wzbudzone przez nie fale przeszkadzały ludziom, którzy zapłaciwszy dwa dolary za kartę wędkarską, marnowali czas, próbując złowić rybę wartą dziesięć centów. Za tamą droga się rozdwajała. Moja wiodła wzdłuż południowego brzegu jeziora. Kluczyła wśród spiętrzonych zwałów granitu. Wysokie na sto stóp żółtawe sosny sondowały jasnoniebieskie niebo. Na otwartej przestrzeni rosły jasnozielone manzanity oraz niedobitki dzikich kosaćców, białe i różowe łubiny, a także pustynny jastrzębiec. Droga opadała następnie ku powierzchni jeziora, mijałem grupki namiotów i grupki dziewcząt w szortach, które jechały na rowerach i na skuterach, wędrowały pieszo poboczem drogi albo po prostu siedziały pod drzewami, pokazując nogi. Widziałem też**

tyle krów, że dałoby się zappełnić dużą fermę. Howard Melton kazał mi odbić od jeziora starą drogą do Redlands, milę przed Puma Point. Postrzępiona wstążka asfaltu wspinała się zakosami w górę. Tu i ówdzie na zboczach wzgórz przycupnęły małe domki. Skończył się asfalt, po chwili z prawej strony ujrzałem polną drogę, wąską i piaszczystą. Tabliczka głosiła: "Prywatny dojazd do jeziora Fawn Lake. Wstęp wzbroniony". Skręciłem w prawo, jechałem powoli, omijając duże nagie głazy. Znalazłem tam też niewielki wodospad, kilka pożółkłych sosen i czarnych dębów - i ciszę. Na gałęzi siedziała wiewiórka, szarpiąc świeżą szyszke i rzucając kawałki w dół, jak confetti. Zbesztala mnie za zakłócanie spokoju i zacisnęła łapkę na szyszce. Wąska droga skręcała za wielkim pnem i dochodziła do bramy z pięciu belek. Kolejna tabliczka tym razem głosiła: "Teren prywatny - przejścia nie ma". Wysiadłem, otworzyłem bramę, przejechałem i zamknąłem ją za sobą. Droga wiła się wśród drzew przez jakieś dwieście jardów. Nagle w dole ujrzałem małe owalne jezioro, błyszczące wśród drzew, skał i zarośli jak kropla rosy na zwiniętym liściu. Bliższy kraniec jeziora przegradzała zabezpieczona u góry sznurową barierką tama z żółtawego betonu, do której przytykało stare koło młyńskie. Obok stał domek z nie okorowanych bali tutejszego drewna. Miał dwa blaszane kominy, z jednego unosił się dym.

Słyszeć było łomot siekiery. Po drugiej stronie jeziora oddalone o całą długość drogi i krótki odcinek za tamą, stały trzy domki, jeden większy, tuż nad wodą, i dwa mniejsze, położone w pewnej odległości jeden od drugiego. Vis ~a vis tamy znajdowało się coś, co wyglądało na małe molo z muszlą koncertową. Napis na spaczony desce brzmiał: "Obozowisko Kilkare". Nic z tego nie rozumiałem, podszedłem więc do nie okorowanego domku i zapukałem. Rąbanie ucichło. Męski głos zawołał coś zza węgła. Siadłem na wielkim kamieniu i obracałem w palcach nie zapalony papierosa. Właściciel wyszedł zza domku, trzymając w ręce siekiere. Kościsty, niezbyt wysoki, miał ogorzałą, pryszczatą, niedogoloną twarz, łagodne brązowe oczy i szpakowate kręcone włosy. Był w niebieskich drelichowych spodniach i niebieskiej koszuli, która odsłaniała ogorzałą, muskularną szyję. Idąc, za każdym razem wyrzucał prawą nogę trochę na zewnątrz, tak że zataczała niewielki łuk. Podszedł do mnie powoli, z papierosem zwisającym z grubych warg. Głos miał cywilizowany.

- Tak?

- Pan Haines?

- Zgadza się.

- Mam do pana liścik. Wręczyłem mu kartkę od Meltona. Odrzucił siekiere na bok, zerknął spod oka na papier, potem zawrócił na pięcie i zniknął w domku. Wyszedł w okularach,

**czytając wiadomość.**

**- A, tak - powiedział - to od szefa. Jeszcze raz przestudiował kartkę.**

**- Pan Dalmas? Jestem Bill Haines. Miło mi pana poznać. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Miał rękę twardą jak stalowe wnyki.**

**- Ma pan rzucić okiem na okolicę i obejrzeć domek Meltona? Co się stało? Mam nadzieję, że szef nie zamierza sprzedać domu? Zapaliłem papierosa, a zapalną pstryknąłem do jeziora.**

**- Melton ma tu wszystko - czego dusza zapragnie - powiedziałem.**

**- Co racja, to racja. Ale pisze o domku...**

**- Chciał mi go pokazać. Mówi, że to cudo, nie domek. Haines wskazał palcem.**

**- To tamten, ten duży. Ściany wykładane spilśnioną sekwoją i sękatą sośniną. Dach z gontów, kamienne fundamenty i ganki, łazienka, prysznic i ubikacja. Wyżej, na wzgórzu, ma zbiornik na wodę źródlaną. To naprawdę cudo, nie domek. Popatrzyłem na to cudo, a potem znów na Hainesa. Oczy mu błyszczały, ale miał pod nimi worki i w ogóle wyglądał nieszczególnie.**

**- Chce pan tam pójść od razu? Przyniosę klucze.**

**- Jestem trochę zmęczony po długiej jeździe.**

**Chętnie bym się czegoś napił, panie Haines.**

**Sprawiał wrażenie zainteresowanego, potrząsnął jednak tylko głową.**

**- Przykro mi, panie Dalmas, ale właśnie skończyła mi się butelka. Obliznął grube wargi i**

uśmiechnął się do mnie.

- Do czego służy koło młyńskie?

- Rekwizyt filmowy. Od czasu do czasu kręcą tu jakiś film. Te rzeczy na drugim końcu jeziora też zostały po filmie. Kręcili tam "Miłość wśród sosen". Resztę dekoracji rozebrano. Słyszałem, że film zrobił klapę.

- Naprawdę? Napije się pan ze mną?

Wyciągnąłem butelkę whisky.

- Z zasady nie odmawiam. Przyniosę szklanki.

- Pani Haines nie ma w domu? Popatrzył na mnie chłodno.

- Nie ma - odparł bardzo powoli. - A czemu?

- Pytam z powodu alkoholu. Rozluźnił się, ale jeszcze dłuższą chwilę nie spuszczał ze mnie oczu. Potem odwrócił się i powłócząc nogą, wszedł do domku. Wrócił zaraz, niosąc dwie szklaneczki, w jakich sprzedają wyszukane sery. Otworzyłem butelkę i nalałem po jednym. Usiedliśmy, Haines wyciągnął przed siebie prawą nogę, ze stopą nieco odchyłoną na zewnątrz.

- Dorobiłem się tego we Francji - powiedział pijąc. - Stary kuternoga Haines. Ale mam za to rentę, no i kobiet to nie odstrasza. Na pohybel prawu - dodał, wychylając toast. Odstawiliśmy szklanki i obserwowaliśmy sójkę, która wspinała się na wysoką sosnę, skacząc z gałęzi na gałąź bez chwili przerwy dla złapania równowagi, jak człowiek, uciekający w górę schodami.

- Miły tu chłodek, ale samotnie - powiedział

**Haines. - Cholernie samotnie. Patrzył na mnie z ukosa. O coś mu chodziło.**

**- Niektórym to odpowiada. Sięgnąłem po szklanki i nadrobiłem moje wobec nich zaniedbania.**

**- To mi dokucza. Za dużo piję, bo mi to dokucza. Dokucza mi nocami. Nic nie powiedziałem. Opróżnił szklaneczkę jednym haustem. W milczeniu podałem mu butelkę. Wyszczuł trzecią szklaneczkę, podniósł zuchowato głowę i oblizał wargi.**

**- Zabawne to, co pan mówił... o tym, czy mojej żony nie ma w domu...**

**- Myślałem tylko, że może powinniśmy z tą butelką przenieść się gdzieś dalej od domu.**

**- Aha. Pan jest przyjacielem Meltona?**

**- Znam go. Ale nie za blisko.**

**- Ta cholerna suka! - zachnął się nagle, z grymasem na twarzy. Popatrzyłem na niego zdziwiony.**

**- Przez tę dziwkę straciłem Beryl! - oznajmił z goryczą. - Zachciało się jej nawet takiego kuternogi jak ja. Przez nią się upiłem i zapomniałem, że mam fajną żonkę, jak mało kto. Czekałem w napięciu.**

**- On też diabła wart! Zostawić tu tego wycirusa samego. Nie muszę mieszkać w jego cholernym domku. Mogę żyć, gdzie mi się podoba. Mam swoją rentę. Rentę inwalidy wojennego.**

**- To całkiem przyjemne miejsce - stwierdziłem. - Niech się pan napije. Posłuchał mojej rady,**



patrzając na mnie ze złością w oczach.

- To po prostu wstrętne miejsce - burknął. - Jak żona opuszcza faceta, a on nawet nie wie, gdzie ona się podziewa... może z jakimś innym gościem. Zacisnął stalową pięść. Po chwili rozluźnił uścisk i nalał sobie do połowy. Butelka się kończyła. Wychylił szklankę jednym łykiem.

- Mówię do pana jak dziad do obrazu - poskarżył się - ale już mi wszystko jedno. Mam dość samotności. Wyszedłem na frajera, ale ja też jestem człowiekiem. Wyglądała - jak Beryl. Ta sama figura, takie same włosy, ten sam sposób chodzenia. U diabła, mogły być siostrami. Z jedną drobną różnicą - jeśli pan chwytaś. Łypnął na mnie spod oka, coraz bardziej pijany. Zrobiłem budzącą zaufanie minę.

- Byłem tam na wzgórzu, paliłem śmieci - rzucił naburmuszony, pokazując kierunek ręką. - Wyszła na tylny ganek w piżamie, która była przezroczysta jak celofan. W ręku trzymała dwie szklanki. Uśmiechała się do mnie, mrużąc te swoje łózkowe oczy. "Napij się, Bill". Jasne, że się napiłem. Wypiłem dziewiętnaście kolejek. Myślę, że wie pan, co się potem stało.

- To samo, co przytrafiło się już wielu porządnym facetom.

- Zostawił ją tu samą, ten skurwysyn! A sam zabawia się w Los Angeles. I Beryl mnie porzuciła - w piątek będzie dwa tygodnie. Zesztywniałem. Zesztywniałem tak, że czułem,

jak po kolei tężeją mi wszystkie mięśnie. W piątek będzie dwa tygodnie - to znaczy tydzień przed zeszłym piątkiem. A zatem dwunastego sierpnia, w dniu, w którym pani Julia Melton wyjechała ponoć do El Paso, w dniu, w którym zatrzymała się w hotelu Olimpia u podnóża gór. Haines odstawił pustą szklankę i sięgnął do zapinanej na guzik kieszeni koszuli. Podał mi wystrzępioną kartkę papieru. Rozłożyłem ją ostrożnie. Pisana była ołówkiem. "Prędzej padnę trupem, niż będę dalej żyła z tobą, ty podły oszuście. - Beryl". I nic więcej.

- To nie była pierwsza zdrada

- powiedział Haines, chichocząc rubasznie. - Ale pierwszy raz mnie przyłapała. Zarechotał.

Zaraz jednak znów spochmurniał. Oddałem mu kartkę, schował ją i zapiął kieszeń.

- Po co ja to panu opowiadam?

- burknął. Sójka zrugła pstrego dzieciola, a ten zaskrzeczał na nią zupełnie jak papuga.

- Jest pan samotny - stwierdziłem. - Powinien pan wreszcie zrzucić ten ciężar. Niech pan się jeszcze napije. Ja już mam dość. Był pan poza domem tego wieczoru, kiedy żona odeszła? Pokiwał smętnie głową i siedział z butelką między nogami.

- Pokłóciliśmy się i pojechałem na północny brzeg do kumpla. Czuję się jak kozi bobek. Musiałem sobie poprawić humor i trochę się napić. Tak też zrobiłem. Wróciłem może o drugiej nad ranem - kompletnie ululany. Ale

zaparkowałem zgrabnie, sprawowałem się cichutko jak mysz pod miotłą. Tymczasem jej już nie było. Zostawiła tylko tę kartkę.

- To było tydzień przed zeszłym piątkiem, tak? I od tego czasu nie dała znaku życia? Byłem trochę za bardzo dociekliwy. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale zaraz się rozchmurzył. Łyknął z butelki, a potem przyjrzał się jej pod słońce.

- Człowieku, koniec już blisko

- powiedział. - A tamta też się zmyła. Pokazał kciukiem na drugą stronę jeziora.

- Może się pobiły - dodał.

- A może pojechały razem. Zaśmiał się ochryple.

- Nie zna pan mojej małej Beryl. Straszna z niej tygrysica, jak już się zdenerwuje.

- Zdaje się, że pod tym względem jedna warta drugiej. Czy pańska żona miała samochód? No bo przecież pan był wtedy samochodem.

- Mamy dwa fordys. Mój ma sprzęgło i hamulec po lewej stronie, pod dobrą nogą. Ona pojechała swoim. Wstałem, podszedłem do brzegu jeziora i wrzuciłem niedopałek. Woda była granatowa, sprawiała wrażenie głębokiej. Najwyraźniej przybrała od wiosennych powodzi i w niektórych miejscach sięgała szczytu tamy. Wróciłem do Hainesa. Dopijał ostatnich kropli whisky.

- Musimy zdobyć więcej gorzały

- rzucił ochryple. - Ma pan u mnie flaszkę. Sam pan prawie nic nie wypił.

- Piłem tam, gdzie kupiłem butelkę - uspokoiłem

go. - Jeśli pan pozwoli, chciałbym teraz obejrzeć domek.

- Jasne. Pójdziemy naokoło jeziora. Nie ma mi pan za złe tej gadaniny o Beryl?

- Czasem trzeba powiedzieć, co się ma na wątrobie - stwierdziłem. - Moglibyśmy pójść tamą. Oszczędziłby pan sobie chodzenia.

- Nie, do diabła. Dobry ze mnie piechur, choć na takiego nie wyglądam. A od miesiąca nie obchodziłem jeziora. Wstał, wszedł do domku i wrócił po chwili z pękiem kluczy.

- Chodźmy. Ruszyliśmy w stronę drewnianego mola i muszli koncertowej na odległym krańcu jeziora. Bliżej wody wila się wśród dużych granitowych głazów wąska ścieżka. Nieco wyżej i dalej była zwykła polna droga. Haines szedł powoli, zarzucając prawą nogą. Był przygnębiony, wypił dość, żeby się pogrążyć w swoim własnym świecie. Prawie wcale nie rozmawialiśmy. Dotarliśmy do mola i weszliśmy na nie. Haines człapał za mną, drewniana noga głucho dudniła. Doszliśmy do końca, omijając niewielką muszlę koncertową, i oparliśmy się o sfatygowaną ciemnozieloną poręcz.

- Nie ma tu ryb? - spytałem.

- Jasne, że są. Pstrągi, okonie. Nie przepadam za rybami. Myślę, że jest ich aż za dużo.

Wychyliłem się i popatrzyłem w nieruchomą, głęboką wodę. Jej powierzchnia zawirowała, zamajaczył jakiś zielonkawy kształt i znikł pod mołem. Haines także się pochylił. Utkwił wzrok

w głębinie. Molo było solidnie zbudowane, miało podwodny podest, szerszy od górnej części, tak jakby poziom wody przypadał kiedyś znacznie niżej i do tego podwodnego dziś podestu przybijały łodzie. Teraz jedna, z płaskim dnem, kołysała się na wystrzępionym sznurze. Haines chwycił mnie za ramię. Mało nie krzyknąłem. Jego palce wczepiły mi się w ramię, jak żelazne szczęki. Spojrzałem na niego. Stał pochylony, gapił się z rozdziawioną gębą, bardzo blady i spocony. Poszedłem za jego wzrokiem. Spod podwodnego podestu coś, co z grubsza przypominało ludzką rękę w ciemnym rękawie, pomachało nam ospale, potem zawahało się i znikło pod mokrymi deskami. Haines wyprostował się powoli, oczy miał nagle trzeźwe i pełne lęku. Bez słowa odwrócił się do mnie plecami i ruszył ku brzegowi jeziora. Podszedł do kupy głazów, pochylił się i natężył. Dobiegło mnie jego ciężkie dyszenie. Obluzował jeden z głazów i prostował się z trudem. Dźwignął głaz do wysokości piersi. Musiał chyba ważyć ze sto funtów. Haines wkroczył z nim powoli na molo, pomimo kulawej nogi, doszedł do poręczy i uniósł nad głowę. Stał tak przez chwilę, mięśnie pod niebieską koszulą miał napięte jak postronki. Wydał jakiś rozpaczliwy dźwięk, potem zachwiał się całym ciałem, a wielki głaz runął do wody. Bryznęło wyżej naszych głów. Głaz przeciął wodę i zdruzgotał krawędź podwodnej konstrukcji. Fale szybko się

rozchodziły, woda bulgotała. Usłyszeliśmy głuchy odgłos pękających pod powierzchnią desek. Fale wędrowały coraz dalej, woda przed naszymi oczyma zaczęła się uspokajać. Jakaś zbutwiała deska wyskoczyła nieoczekiwanie z głębin, znów się zanurzyła z cichym kłębnięciem i odpłynęła. Woda powoli odzyskiwała przezroczystość. Coś w niej pływało. To długie, ciemne, poskręcane coś wynurzało się powoli, obracając się wokół własnej osi. Wreszcie wychynęło na powierzchnię. Ujrzałem pociemniały od brudu materiał - sweter, spodnie. Ujrzałem buty oraz coś bezkształtnego, napuchłego, co sterczało z tych butów. Ujrzałem smugę jasnych włosów, unoszoną przez wodę i na mgnienie oka znieruchomiałą. Rzecz się obróciła, ręka pacnęła o wodę - dłoń nie przypominała już ludzkiej dłoni. Pojawiła się twarz. Nabrzmiała, papkowata, białoszara masa wzdętego ciała, bez rysów, bez oczu, bez ust. Coś, co kiedyś było twarzą. Haines nie odrywał od niej wzroku. W okolicy szyi zobaczyliśmy zielone kamyki. Prawa dłoń Hainesa zacisnęła się na poręcz, mimo ogorzalej, twardej skóry knykcie miał białe jak śnieg.

- Beryl! Jego głos dobiegł do mnie z bardzo daleka, jakby zza wzgórza, zza gęstego lasu.

\* \* \*

## **IV. Kobieta w jeziorze**

**W oknie duża biała kartka oznajmiała drukowanymi literami: "Tinchfield nadal posterunkowym" W głębi znajdowała się wąska lada, na której leżały sterty zakurzonych prospektów. Na oszklonych drzwiach napisano czarnymi literami: "Dowódca policji. Dowódca straży ogniowej. Urząd miejski. Izba handlowa. Proszę wejść". Wszedłem do czegoś, co okazało się jednoizbową drewnianą chatą z pękatym piecem w kącie, zaśmieconym biurkiem z wysuwającym blatem, dwoma twardymi krzesłami i ladą. Na ścianie wisiały: duża urbanistyczna mapa terenu, kalendarz i termometr. Obok biurka ktoś pracowicie wyrył w drewnie dużymi cyframi kilka numerów telefonicznych. Za biurkiem, rozparty w staromodnym obrotowym krześle, siedział mężczyzna w zsuniętym na tył głowy stetsonie z płaskim rondem. Koło prawej nogi ustawił sobie wielką spluwaczkę, Duże, nie owłosione ręce zaplótł wygodnie na brzuchu. Miał brązowe spodnie na szelkach, spłowiałą i mocno spraną brązową koszulę zapiętą tuż pod grubą szyją, był bez krawata. O ile mogłem dojrzeć jego włosy, były mysiobrązowe, tylko na skroniach białe jak śnieg. Na lewej piersi widniała gwiazda. Siedział raczej na lewym niż na prawym pośladku, z prawej strony nosił bowiem skórzaną kaburę z wetkniętym w nią dużym**

czarnym pistoletem. Oparłem się na ladzie i obserwowałem mężczyznę. Miał duże uszy, przyjazne szare oczy i w ogóle sprawiał wrażenie, że byle dziecko może go okpić.

- Czy pan Tinchfield?

- Tak. Całe prawo w tym miasteczku to ja, przynajmniej do wyborów. Kilku fajnych chłopaków startuje przeciwko mnie i jak im się uda, to mnie wykurzą. Westchnął.

- Czy jezioro Little Fawn podlega pańskiej jurysdykcji?

- Co to ma znaczyć, synu?

- Jezioro Little Fawn, daleko w górach. To też pana rejon?

- Aha. Myślę, że tak. Jestem zastępcą szeryfa. Ale nie było już miejsca na drzwiach. Z żalem spojrział w ich stronę.

- To wszystko moje tereny. Coś się tam stało? U Meltonów?

- W jeziorze jest trup kobiety.

- O la, la. Rozplótł dłonie, podrapał się w ucho i ociężale wstał. Był wielkim, potężnym mężczyzną. Okazało się, że jego tusza to tylko dobrotliwy charakter.

- A więc trup? Kto to taki?

- Żona Billa Hainesa, Beryl. Przypuszczalnie samobójstwo. Dość długo była w wodzie, szeryfie. Nieprzyjemny widok. On mówi, że go porzuciła dziesięć dni temu. Sądzę, że wtedy to zrobiła. Tinchfield pochylił się nad spluwaczką i pozbył się sporej ilości gąbczastej, brązowej



masy. Pacnęła cicho o dno naczynia. Szeryf oblizął wargi i wytarł je wierzchem dłoni.

- A kim ty jesteś, synu?

- Nazywam się John Dalmas. Przyjechałem z Los Angeles z listem pana Meltona do Hainesa, żeby obejrzeć jego posiadłość. Obchodziliśmy razem jezioro, potem weszliśmy na małe molo, które tam kiedyś zbudowali filmowcy.

Zobaczyliśmy coś w wodzie u naszych stóp.

Haines wrzucił duży głaz i ciało wypłynęło.

Nieprzyjemny widok, szeryfie.

- Haines tam został?

- Tak. Ja przyjechałem do miasteczka, bo on mocno się tym przejął.

- Nie dziwota, synu. Tinchfield otworzył szufladę biurka i wyjął butelkę whisky. Wsunął ją za pazuchę i starannie zapiął koszulę.

- Pojedziemy po doktora Menziesa - powiedział.

- I po Paula Loomisa. Spokojnie okrążył ladę.

Cała ta sytuacja nie zrobiła na nim wrażenia większego niż brzęcząca mucha. Wyszliśmy.

Szeryf najpierw nastawił tabliczkę zegarową, wiszącą na szybie, tak żeby wskazywała:

"Wracam o szóstej". Potem zamknął drzwi i wsiadł do samochodu wyposażonego w syrenę, dwa czerwone reflektory, dwa żółte światła przeciwmgielne, białą-czerwoną plakietkę straży pożarnej i liczne napisy, których nie chciało mi się czytać.

- Poczekaj tu, synu. Migiem będę z powrotem.

Zawrócił w miejscu, pojechał drogą wiodącą w

stronę jeziora i zatrzymał się przed drewnianym domkiem vis-à-vis stacji. Po chwili wyszedł z niego z wysokim, chudym mężczyzną. Potem samochód wolno zbliżył się do mnie i zawrócił, a ja opadłem na tylne siedzenie. Jechaliśmy przez miasteczko, mijając dziewczęta w szortach i mężczyzn w kąpielówkach lub w szortach, gołych do pasa i opalonych. Tinchfield używał klaksonu, ale nie włączył syreny. Nie chciał, żeby ruszył za nim cały sznur samochodów. Wjechaliśmy na piaszczyste wzgórze i zatrzymaliśmy się przed niewielkim domkiem. Szeryf nacisnął klakson i zawołał. Drzwi otworzył mężczyzna w niebieskim dresie.

- Wsiadaj, Paul. Ten w dresie kiwnął głową, znikł w domku i wynurzył się po chwili w brudnym kapeluszu myśliwego z tropików na głowie. Wróciliśmy do szosy, potem skręciliśmy w polną drogę i dojechaliśmy do bramy na początku prywatnej drogi dojazdowej. Mężczyzna w dresie wysiadł, otworzył bramę i zamknął ją, kiedy samochód przejechał.

Gdyśmy dotarli do jeziora, z komina domku Hainesa nie unosił się już dym. Wysiedliśmy. Doktor Menzies miał kanciastą żółtawą twarz, małe oczka i palce poplamione nikotyną. Gość w dresie i tropikalnym kapeluszu, mniej więcej trzydziestoletni, był ogorzały, gibki, sprawiał wrażenie niedożywionego. Podeszliśmy na skraj jeziora i spojrzeliśmy w stronę mola. Bill Haines siedział na deskach, golusieńki, z twarzą ukrytą

w dłoniach. Coś leżało obok niego.

- Możemy cały kawał podjechać  
- powiedział Tinchfield. Wróciliśmy do samochodu. Podjechaliśmy, a następnie gromadką zeszliliśmy do samego mola. To, co kiedyś było kobietą, spoczywało twarzą do podłogi mola, ze sznurem pod pachami. Obok leżało ubranie Hainesa. Kawalek dalej połyskiwała skórzanymi i metalowymi częściami jego sztuczna noga. Nie mówiąc słowa, Tinchfield wyciągnął zza pazuchy butelkę whisky, otworzył i wręczył Hainesowi.  
- Łyknij sobie, Bill - rzucił niedbale. W powietrzu unosił się okropny, mdły zapach. Haines sprawiał wrażenie kogoś, kto nic nie czuje, podobnie zresztą Tinchfield i Menzies. Loomis przyniósł z samochodu koc, przykrył nim zwłoki, a potem wraz ze mną wycofał się z mola. Haines łyknął z butelki, a następnie rozejrzał się martwym wzrokiem. Wetknął flaszkę między zdrową nogę a kikut i zaczął mówić, martwym gosem, nie patrząc na nikogo ani na nic. Powoli opowiedział wszystko, co już przedtem od niego usłyszałem. Dodał, że kiedy pojechałem do miasteczka, on wziął sznur, rozebrał się, wszedł do wody i wyciągnął ciało. Kiedy skończył relację, gapił się po prostu w drewniane belki, nieruchomy jak posąg. Tinchfield włożył do ust prymkę i przez chwilę ją żuł. Potem mocno zacisnął zęby, pochylił się i obrócił zwłoki, ostrożnie, jakby z obawą, że mu

się w ręku rozleca. Późne słońce oświetliło naszyjnik z zielonych kamieni, który zauważyłem w wodzie. Lekko oszlifowane i bez połysku, wyglądały na steatyty. Spinał je złoty łańcuszek. Tinchfield wyprostował swe potężne plecy i z hałasem wydmuchał nos w brązową chusteczkę.

- Co ty na to, doktorze? Menzies miał ostry, wysoki, nieprzyjemny głos.

- Co u diabła, chcesz, żebym ci powiedział?

- Przyczyna i czas zgonu.

- Nie strugaj wariata, Jim - zachnął się doktor.

- Nic się nie da powiedzieć?

- Patrząc na to? Dobry Boże! Tinchfield westchnął i obrócił się do mnie.

- Gdzie było ciało, gdy je zobaczyliście po raz pierwszy? Powiedziałem mu. Słuchał, przerwawszy żucie, z oczyma bez wyrazu. Kiedy skończyłem, znów zaczął żuć.

- Zabawne miejsce. Nie ma tu prądu. A gdyby był, to raczej w stronę tamy. Bill Haines wstał na jednej nodze, podskoczył do swojego ubrania i przypiął sobie drugą nogę. Ubierał się powoli, nieporadnie, naciągając koszulę na mokre ciało. Znów przemówił, na nikogo nie patrząc.

- Zrobiła to sama. Na pewno. Wpłynęła pod belki i opiła się wody. Albo się zaplątała. Musiała. Nie mogło być inaczej.

- A jednak mogło, Bill - powiedział cicho Tinchfield, patrząc w niebo. Haines pogmerał przy koszuli i wyciągnął wystrzępioną kartkę.

**Wręczył ją szeryfowi. Wszyscy zgodnie odsunęliśmy się od ciała. Potem Tinchfield wrócił po swoją butelkę i schował ją za pazuchę. Podszedł do nas, kolejny raz czytając kartkę.**

**- Nie ma tu daty. Mówisz, że to było parę tygodni temu?**

**- W piątek będzie dwa tygodnie.**

**- Ona już raz kiedyś od ciebie odeszła?**

**- Tak - odparł Haines, nie patrząc na szeryfa. - Dwa lata temu. Upiłem się i miałem cholernego kaca. Zaśmiał się dziko. Tinchfield raz jeszcze spokojnie przeczytał kartkę.**

**- Zostawiła ją tym razem? - spytał.**

**- Kapuję - warknął Haines. - Nie musisz mówić dalej.**

**- Kartka jest dość stara - zauważył łagodnie szeryf.**

**- Noszę ją w kieszeni od dziesięciu dni - ryknął kuternoga i znów dziko się zaśmiał.**

**- Co cię tak cieszy, Bill?**

**- Czy próbowałeś kogoś wciągnąć pod wodę na głębokość sześciu stóp?**

**- Nigdy, Bill.**

**- Pływam dość dobrze, jak na faceta bez nogi. Ale nie tak dobrze. Tinchfield westchnął.**

**- To nic nie znaczy, Bill. Może użyto sznura. Może obciążono ją kamieniem albo dwoma kamieniami, głowę i nogi. Jak już się znalazła pod podestem, sznur można było wyciągnąć. Technicznie to możliwe, synu.**

**- Jasne. Ja to zrobiłem - powiedział Haines i**

wybuchł śmiechem. - Ja zabiłem Beryl.  
Wsadźcie mnie do ciupy, skurwysyny!  
- Mam taki zamiar - oznajmił łagodnie  
Tinchfield. - W celu przesłuchania. Na razie bez  
stawiania zarzutu. Mogłeś to zrobić, Bill. Nie  
mów mi, że nie. Nie twierdzą wcale, że to  
zrobiłeś. Twierdzą tylko, że mogłeś. Haines  
otrzeźwiał równie szybko, jak się przedtem  
załamał.

- Była ubezpieczona? - spytał szeryf, patrząc w  
niebo.

- Pięć tysięcy - odparł Haines. - To wystarczy.  
Będę wisiał. A niech tam. Chodźmy. Tinchfield  
odwrócił się z wolna do Loomisa.

- Pójdź do domku, Paul, i przynieś kilka koców.  
A potem musimy wszyscy wlać w siebie trochę  
whisky. Loomis ruszył okrążając jezioro drogą  
w stronę domku Hainesa. My zaś po prostu  
staliśmy. Haines popatrzył na swoje brązowe  
ręce i mocno zacisnął pięści. Potem bez słowa  
wyprostował prawą ręką i zadał sobie potężny  
cios w twarz.

- Ty skurwysynu! - szepnął ochryple. Z nosa  
puściła mu się krew. Stał bezradnie. Krew  
spływała do ust, wzdłuż warg i na podbródek.  
Stamtąd powoli kapiała na ziemię. To mi  
przypomniało coś, o czym byłbym zapomniał.

\* \* \*

## **V. Złoty łańcuszek**

**Zadzwońiłem do Howarda Meltona, do jego domu w Beverly Hills, godzinę po zachodzie słońca. Dzwoniłem z małego urzędu telefonicznego na bocznej uliczce Puma Point. Ledwie co było słychać z powodu łoskotu kalibru 22 na strzelnicy, tumultu tańczących narciarzy, buczenia wymyślnych klaksonów oraz skalmrzenia muzyki country w sali restauracyjnej hotelu Pod Głową Indianina. Kiedy telefonistka połączyła się z Meltonem, pozwoliła mi rozmawiać z biura naczelnika. Zamknąłem za sobą drzwi, zasiadłem przy niewielkim biurku i podniosłem słuchawkę.**

**- Coś pan znalazł? - usłyszałem jego głos, nieco zachrypnięty, jak po trzech szklaneczkach whisky?**

**- Nie to, czego szukałem. Zdarzyło się jednak coś, co pana nie uraduje. Przełknie pan to, czy mam podać w opłatku? Usłyszałem, jak chrząknął. Poza tym z jego pokoju nie dobiegały żadne dźwięki.**

**- Przełknę - zapewnił solennie.**

**- Bill Haines utrzymuje, że pańska żona przystawiała się do niego - i że dopięła swego. Upili się obydwójce tego ranka, kiedy ona wyjeżdżała znad jeziora. Haines pokłócił się potem z tego powodu z żoną, a następnie pojechał na północny brzeg jeziora Puma, żeby się upić na dobre. Wrócił koło drugiej nad**

ranem. To znaczy - powtarzam panu to, co mi powiedział. Czekalem.

- Słyszałem - zabrzmiał w słuchawce głos Meltona - niech pan kontynuuje, panie Dalmas. Był to głos bezbarwny, płaski jak dachówka.

- Kiedy wrócił do domu, obu kobiet nie było. Jego Beryl zostawiła kartkę, w której napisała, że woli umrzeć niż żyć dalej z takim oszustem. Od tego czasu nie widział jej - aż do dziś. Melton znów chrząknął. Zaskrzeczało mi to w uchu. Na linii były szумы i trzaski. Włączyła się telefonistka, a ja powiedziałem jej, żeby poszła do fryzjera. Po tym interludium odezwał się Melton.

- Haines opowiedział to wszystko panu, obcemu?

- Miałem ze sobą alkohol. A on lubi wypić, a poza tym już mu doskwierało milczenie. Alkohol usunął wszelkie przeszkody. Ale to nie koniec. Mówiłem, że nie widział żony aż do dziś. Dziś właśnie wypłynęła z waszego jeziora. Niech pan zgadnie, czy ładnie wygląda.

- Dobry Boże! - zawołał Melton.

- Tkwiła pod drewnianym podestem mola, które zbudowali filmowcy. Tutejszemu posterunkowemu, Jimowi Tinchfieldowi, niezbyt się to podoba. Przymknął Hainesa. Zdaje się, że pojechali do prokuratora okręgowego w San Bernardino, no i zrobić sekcję i co tam trzeba.

- Tinchfield myśli, że Haines ją zabił?

- Przypuszcza, że mogło się tak zdarzyć. Ale on nie mówi wszystkiego, co myśli. Haines dał



**pokaz aktu skruchy, ale Tinchfield tego nie kupił. Zdaje się, że wie o nim trochę więcej niż ja.**

**- Czy zrobił rewizję w domku Hainesa?**

**- Za mojej tam bytności nie. Może później.**

**- Rozumiem. Głos miał teraz zmęczony, zużyty.**

**- To niezły kęs dla prokuratora tuż przed wyborami - stwierdziłem. - Ale nie dla nas. Jeśli zostanę wezwany na przesłuchanie, będę musiał ujawnić, pod przysięgą, swój zawód. A wtedy muszę powiedzieć, co mnie tam sprowadziło, choćby ogólnikowo. To zaś znaczy, że pan zostanie w tę sprawę wmieszany.**

**- Zdaje się - powiedział sucho Melton - że i tak już jestem. Jeśli moja żona... Przerwał i zaklął. Potem milczał przez dłuższy czas. Słyszałem zakłócenia na linii i jakieś głośniejsze trzaski, jakby grzmoty w górach, przez które wiodła linia.**

**- Beryl Haines - powiedziałem w końcu - miała swojego forda. Bo ford Billa był przerobiony, żeby można było posługiwać się tylko lewą nogą. Tamten samochód znikł. A jej kartka wcale mi nie wygląda na pożegnanie przed samobójstwem.**

**- Co pan teraz zamierza?**

**- Mam wrażenie, że w tej robocie co chwila ktoś mnie kieruje na boczny tor. Może wrócę jeszcze dzisiejszej nocy do Los Angeles. Czy mogę do pana zajrzeć?**

**- O dowolnej porze - odparł. - Będę w domu**

**przez cały wieczór i całą noc. Niech pan śmiało wpada. Nie przypuszczałem, że Haines to facet tego pokroju.**

**- Ale wiedział pan, że pańska żona ma okresy picia, a mimo to zostawił ją pan tam samą.**

**- Na miły Bóg - ciągnął, jakby mnie nie słyszał. - Mężczyzna z drewnianą nogą...**

**- Zostawmy ten wątek - zachnąłem się. - I tak sprawa jest dość zabagniona. Do zobaczenia. Odłożyłem słuchawkę, przeszedłem do okienka i zapłaciłem panience za rozmowę. Potem dotarłem do głównej ulicy i wsiadłem do swojego samochodu, który stał przed drugstore. Na ulicy panoszyły się jaskrawe neony, blichtr i hałas. W suchym górskim powietrzu każdy dźwięk niósł się milami. Słyszałem, co mówią ludzie na trzeciej przecznicy. Wysiadłem z samochodu, kupiłem kolejną butelkę i ruszyłem w drogę. Kiedy znalazłem się w miejscu, w którym droga do jeziora Little Fawn odbijała od szosy, zjechałem na pobocze, by zebrać myśli. Później skręciłem w stronę gór, drogą, która wiedzie do domku Meltona. Brama na prywatnej drodze była teraz zamknięta na kłódkę. UKryłem samochód w krzakach, przedostałem się przez bramę, a potem przemykałem się poboczem drogi, aż u moich stóp nagle zabłysły gwiazdy w jeziorze. Domek Hainesa był pogrążony w mroku, a te po drugiej stronie jeziora odcinały się od zbocza ciemniejszymi plamami. Śmieszne stare koło**

młyńskie tkwiło osamotnione przy tamie.  
Nadsluchiwałem - cisza absolutna. W górach nie ma nocnych ptaków. Podszedłem na palcach do domku Hainesa i nacisnąłem klamkę.  
Zamknięte. Obszedłem go i stwierdziłem, że tylne drzwi też są zamknięte. Skradałem się wokół domku jak kot po mokrej podłodze.  
Próbowałem pchnąć jedyne okno. Również zamknięte. Przez chwilę nadsluchiwałem bez najmniejszego ruchu. Okno nie było zbyt szczelne. W górskim powietrzu drewno szybko się rozsycha i paczy. Wetknąłem nóż między oba skrzydła, otwierające się, jak zwykle w domkach letniskowych, do wewnątrz. Nie było zabezpieczenia. Oparłem się o ścianę domku i patrząc na połyskujące jezioro, łyknąłem whisky. To mi dodało odwagi. Odstawiłem butelkę i znalazłem duży kamień, którym uderzyłem w ramę okienną, nie tłukąc szyby.  
Wspiąłem się na parapet i wskoczyłem do domku. Latarka zaświeciła mi prosto w oczy.  
- Na twoim miejscu oszczędziłbym sobie zbędnych ruchów, synu - powiedział spokojny głos. - Musisz być cholernie zmęczony. Strumień światła przyszpilił mnie na chwilę do ściany, potem pstryknął wyłącznik i w pokoju rozbłysło normalne światło. Latarka zgasła. Tinchfield siedział spokojnie w skórzanym klubowym fotelu, obok stołu, z którego bezsensownie zwisał szal z brązowymi frędzlami. Był ubrany tak samo jak po południu, tylko włożył jeszcze

**brązową wełnianą bluzę. Powoli poruszał  
szczękami.**

**- Ci filmowcy doprowadzili tu prąd z odległości  
ponad dwóch mil - powiedział w zamyśleniu. -  
Niezły prezent dla mieszkańców. No dobrze, o co  
ci chodzi, synu**

**- jeśli pominąć najście z włamaniem?  
Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem i  
rozejrzałem się po wnętrzu domku. Pokój był  
mały, kwadratowy, z małżeńskim łóżem,  
zszytym z kawałków dywanem i skromnym  
umeblowaniem. Przez otwarte drzwi w głębi  
widać było róg pieca kuchennego.**

**- Miałem pewien pomysł - stwierdziłem. - Ale  
teraz, gdy tu siedzę, wydaje mi się, że był  
kiepski. Tinchfield przytaknął, a jego oczy  
patrzyły na mnie badawczo, bez urazy.**

**- Słyszałem twój samochód - powiedział. -  
Wiedziałem, że jesteś na prywatnej drodze i że  
się zbliżasz. Przyznaję, że umiesz cicho chodzić.  
Nie posłyszałem ani jednego kroku. Budzisz  
moje zainteresowanie, synu.**

**- Dlaczego?**

**- Czy nic ci nie ciąży pod lewą pachą?  
Uśmiechnąłem się do niego.**

**- Spróbuję wyjaśnić - rzuciłem.**

**- No dobrze, możesz się specjalnie nie  
przejmować tym wyważonym okienkiem.  
Jestem człowiekiem tolerancyjnym.**

**Spodziewam się, że masz pozwolenie na noszenie  
broni sześciopalcowej, co? Sięgnąłem do**

kieszeni i położyłem mu na grubym kolanie rozłożony portfel. Wziął dokumenty, przysunął się do światła i uważnie obejrzał licencję w celuloidowym etui. Potem zwrócił mi portfel.

- Domyślam się, że interesuje cię Bill Haines. Jesteś prywatnym detektywem, co? No dobrze, jesteś odpowiednio solidnej budowy, a twoja twarz umie milczeć. Sam się trochę martwię o Billa. Chciałeś przeszukać domek?

- Miałem taki zamiar.

- Z mojej strony nie ma przeszkód, ale to chyba nie jest konieczne. Już się tutaj dokładnie rozejrzałem. Kto cię wynajął?

- Howard Melton. Przez chwilę żuł w milczeniu.

- Mogę spytać w jakim celu?

- Żebym odszukał jego żonę. Zwiąła mu dwa tygodnie temu. Tinchfield zdjął stetsona z płaskim dnem i zmierzwił mysie włosy. Potem wstał, odsunął zasuwę i otworzył drzwi. ZNów usiadł i patrzył na mnie w milczeniu.

- Meltonowi zależy na uniknięciu rozgłosu - powiedziałem. - Z powodu pewnej przypadłości żony obawia się, że może stracić pracę. Szeryf patrzył na mnie, nie mrugając powiekami. W żółtym świetle lampy jego twarz wyglądała jak spizowy posąg.

- Nie mam na myśli alkoholu ani Billa Hainesa - dodałem.

- Wszystko to wcale nie wyjaśnia dlaczego chciałeś rewidować domek Billa - odparł łagodnie.

**- Po prostu lubię sobie powęszyć. Przez dłuższy czas ani drgnął, jakby się zastanawiał, czy sobie z niego kpię, czy nie, a jeśli tak, to czy ma się obrazić.**

**- Może to cię ździebko zainteresuje, synu? - powiedział w końcu. Wyjął złożony kawałek gazety z ukośnej kieszeni bluzy i rozpostarł go na stole, pod lampą. Podszedłem i rzuciłem okiem. Na gazecie leżał cienki złoty łańcuszek z miniaturowym zameczkiem. Łańcuszek był przecięty szczypcami. Zameczek pozostał zamknięty. Łańcuszek miał może cztery, najwyżej pięć cali, a zapięcie nie było od niego dużo grubsze. Na łańcuszku i na gazecie zauważyłem ponadto niewielką ilość białego proszku.**

**- Czy zgadniesz, gdzie to znalazłem, synu? - spytał Tinchfield. Polizałem palec, dotknąłem białego proszku i spróbowałem.**

**- W worku z mąką. Tutaj, w kuchni. To łańcuszek na nogę. Niektóre kobiety noszą coś takiego, nigdy nie zdejmując. Ten, kto to zrobił, nie miał kluczyka. Tinchfield spojrział na mnie łaskawym okiem. Rozpierał się w fotelu, gładząc potężną dłońią kolano, i uśmiechał się lekko w stronę sosnowego sufitu. Skręciłem w palcach papierosa i usiadłem. Szeryf zawinął łańcuszek w gazetę i schował do kieszeni.**

**- No dobrze, myślę, że to by było na tyle - chyba, że chcesz przeprowadzić rewizję w mojej obecności.**

- Nie - oznajmiłem.
- Zdaje się, że teraz każdy z nas będzie musiał przemyśleć tę sprawę od nowa.
- Pani Haines miała swoje auto, tak mówi Bill. Forda.
- Aha. Niebieskie coup~e. Stoi kawałek od drogi, ukryte pośród skał.
- To wszystko niezbyt mi wygląda na zaplanowane morderstwo.
- Nie przypuszczam, żeby coś tu było planowane, synu. Spadło to na niego nagle. Może ją udusił, a ręce to on ma mocne jak nie wiem co. No i został z ciałem, którego musiał się pozbyć. Zrobił to w najlepszy sposób, na jaki tylko mógł wpaść, a jak na kuterne - cholernie dobrze.
- Auto nasuwa raczej myśl o samobójstwie - powiedziałem. - Zaplanowanym samobójstwie. Zdarza się, że ludzie popełniają samobójstwo tak, żeby rzucić podejrzenie o morderstwo na kogoś, kto im dopiekl. W takim wypadku nie odjeżdżałaby daleko samochodem, bo musiała wrócić.
- Tak samo Bill. Zresztą byłoby mu diabelnie trudno prowadzić ten wóz, skoro normalnie prowadzi, posługując się lewą nogą.
- Pokazał mi tę kartkę od Beryl, zanim znaleźliśmy ciało - stwierdziłem. - A poza tym to ja chciałem wejść na molo.
- Moglibyśmy pracować wspólnie, synu. No dobrze, zobaczymy. Bill to w gruncie rzeczy dobry chłop - choć ci weterani na mój gust

**domagają się zbyt wielu przywilejów. Niektórzy  
posiedzieli trzy tygodnie w obozie  
szkoleniowym, a zachowują się, jakby odnieśli  
po dziewięć ran. Bill musiał mieć wielki  
sentyment do tego kawałka łańcuszka, który  
znalazłem w mące. Wstał, podszedł do  
otwartych drzwi i splunął w mrok.**

**- Mam sześćdziesiąt dwa lata - rzucił przez  
ramię - widziałem facetów, którzy robili  
najrozmaitsze zabawne rzeczy. Powiem wprost,  
że skakanie w ubraniu do zimnej wody,  
nurkowanie pod deski mola, a potem umieranie  
z rozpacz - to dość zabawne. Z drugiej strony,  
skoro już wyjawiam ci swoje tajemnice, synu,  
mimo że ty mi nic nie mówisz, dodam, że  
musiałem parę razy przemawiać Billowi do  
rozsądku, kiedy po pijanemu tłukł żonę. Nie  
wypadnie to dobrze przed sądem przysięgłych.  
A jeśli w dodatku ten łańcuszek pochodzi z łydki  
Beryl Haines, to samo to wystarczy, żeby go  
zaprowadzić do tej uroczej nowiutkiej komory  
gazowej, którą zmajstrowali na północy. A  
wtedy ty i ja możemy się zbierać do domu, synu.  
Wstałem.**

**- I nie pal papierosa na szosie - dodał. - To  
wbrew obowiązującym tutaj przepisom.  
Schowałem nie zapalonego papierosa do kieszeni  
i wyszedłem w noc. Tinchfield zgasił lampę,  
zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.**

**- Gdzieś się zatrzymał, synu?**

**- Pojadę do Olimpji w San Bernardino.**



- To przyjemne miejsce, ale nie mają tam takiego mikroklimatu, jak my tutaj. Za gorąco.
- Lubię, jak jest gorąco. Doszliśmy do drogi i Tinchfield skręcił w prawo.
- Mój wóz stoi bliżej brzegu jeziora. Życzę ci dobrej nocy, synu.
- Dobranoc, szeryfie. Nie przypuszczam, żeby on ją zamordował. Szeryf już odchodził. Nawet się nie obejrzał.
- Cóż, zobaczymy - powiedział spokojnie. Doszedłem do bramy, przedostałem się przez nią, znalazłem swój samochód i ruszyłem wąską drogą, mijając wodospad. Na szosie skręciłem na zachód, w stronę tamy i wjazdu do doliny. Po drodze doszedłem do wniosku, że mieszkańcy okolic jeziora Puma popełnią poważny błąd, jeśli ponownie nie wybiorą Tinchfielda na posterunkowego.

\* \* \*

## **VI. Melton zaciera ślady**

**Minęło wpół do jedenastej, kiedy dotarłem do wjazdu do doliny. Zaparkowałem samochód w jednej z poprzecznych zatoczek przed samym hotelem Olimpia w San Bernardino i wyciągnąłem z bagażnika torbę podróżną. Zdążyłem wejść zaledwie na trzeci lub czwarty schodek, gdy wyjął mi ją z ręki hotelowy boy w spodniach z galonami, białej koszuli i czarnym krawacie. W recepcji dyżurował łysy mężczyzna, którego moja osoba zupełnie nie zainteresowała. Wpisałem się do księgi. Razem z boyem wjechaliśmy malutką windą na pierwsze piętro i ruszyliśmy korytarzem, skręcając raz i drugi. W miarę jak szliśmy, robiło się coraz bardziej gorąco. Wreszcie boy otworzył drzwi do małego, jakby dzieciennego pokoju z jednym oknem, wychodzącym na szyb wentylacyjny. Boy, wysoki, szczupły, żółty na twarzy i opanowany jak porcja kurczaka w galarecie, przesunął językiem gumę w ustach, umieścił moją torbę na krześle, otworzył okno i stał, patrząc na mnie. Oczy miał przejrzyste jak woda.**

**- Przynieś nam teraz piwa imbirowego, szklanki i lód - poleciłem.**

**- Nam?**

**- Tak, jeśli nie jesteś abstynentem.**

**- Myślę, że po jedenastej mógłbym się napić.**

**- Jest teraz dziesiąta trzydzieści dziewięć. Czy**

jeśli dam ci dziesiątaka powiesz: "Bardzo panu dziękuję"? Uśmiechnął się i kłasknął gumą. Potem wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Zrzuciłem marynarkę i odpiąłem kaburę. Rzemyki odcisnęły mi ślady na skórze. Zdjąłem krawat, koszulę, podkoszulek i przechadzałem się po pokoju w przeciagu z otwartego okna. Pachniało rozżarzoną żelazem. Wszedłem do wąskiej łazienki, ochlapałem się zimną wodą i właśnie zaczynałem oddychać swobodniej, kiedy wysoki, ospały boy wrócił z tacą. Zamknął drzwi, a ja wyjąłem butelkę. Zrobił dwa koktajle, spróbowaliśmy. Pot spłynął mi po kręgosłupie, ale też lepiej się poczułem. Siadłem na łóżku ze szklanką w ręku i patrzyłem na boya.

- Ile czasu możesz mi poświęcić?

- A co mam robić?

- Powspominać.

- Do tego to się nie nadaję.

- Mam trochę forsy na zbyciu - oznajmiłem - i wiem, co bym za nią chciał. Wyjąłem portfel z marynarki i rozłożyłem na łóżku harmonijkę banknotów.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział boy - czy pan jest gliną?

- Prywatnym detektywem.

- To mi się podoba. Napitek pobudził mi pamięć. Dałem mu dolara.

- Spróbuj, jak to podziała. Czy pochodzisz z Teksasu?

- Zgadł pan - wycedził, wciskając starannie złożony banknot do kieszonki na zegarek.
- Gdzie byłeś w piątek dwunastego sierpnia, późnym popołudniem? Pociągnął ze szklanki i zastanawiał się, bardzo ostrożnie grzechocząc lodem, a potem znów pił, nie wyjmując gумы z ust.
- Tutaj. Miałem zmianę od czwartej do dwudziestej czwartej
- odparł w końcu.
- Pewna pani, żona niejakiego George'a Atkinsa, drobna, szczupła, ładna blondynka, zatrzymała się w tym hotelu do czasu odjazdu nocnego pociągu na wschód. Zostawiła swój samochód w hotelowym garażu, przypuszczam, że nadal tam stoi. Chcę faceta, który był wtedy w recepcji. Daję za to następnego dolara. Wyjąłem jeden banknot z puli i położyłem obok pozostałych na łóżku.
- Bardzo panu dziękuję - powiedział boy z uśmiechem na ustach. Opróżnił szklankę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Ja też opróżniłem swoją i nalałem sobie do pełna. Czas mijał. Wreszcie zadzwonił telefon, wiszący na ścianie. Wcisnąłem się w wąską przestrzeń między drzwiami od łazienki a łóżkiem i podniosłem słuchawkę.
- To był Sonny. Skończył dziś pracę o ósmej. Myślę, że można by go odszukać.
- Ile to potrwa?
- Ma tu przyjechać?

- Tak.
- Pół godziny, jeśli jest w domu. Inny chłopak był przy jej wyprowadzce. Ma na imię Les. On jest na miejscu.
- Świetnie. Niech skoczy na górę. Wypiłem drugą szklankę i tak mi smakowało, że postanowiłem zrobić jeszcze jeden koktajl, zanim lód całkiem się rozpuści. Nie zdążyłem zamieszać, kiedy rozległo się pukanie. Otworzyłem małemu, sprężystemu, rudawemu szurkowi o zielonych oczach i małej dziewczęcej buzi.
- Coś zimnego?
- Z chęcią - odparł. Nalał sobie do pełna i lekko zakręcił pałeczką. Wypił koktajl jednym haustem, wetknął w usta papierosa i zapalił zapalną, zanim jeszcze na dobre wyciągnął pudełko z kieszeni. Wypuścił chmurę dymu, rozwiał ją ręką i popatrzył na mnie zimno. Zauważyłem, że nad kieszonką zamiast numeru miał wyszyte "szef boyów".
- Dziękuję - powiedziałem. - To wszystko.
- Co? Usta wykrzywił mu nieprzyjemny grymas.
- Spadaj!
- Myślałem, że chciał się pan ze mną zobaczyć - burknął.
- To ty jesteś szefem od nocnego dzwonka?
- Zgadza się.
- Chciałem ci postawić kielicha. Chciałem ci dać dolara. Oto on. Wizyta skończona. Wziął dolara, ale ciągle tkwił na miejscu. Dym smużył mu się z

nosa, oczy miał paciorkowate i mętne. Nagle obrócił się na pięcie, wzruszył ramionami i bezszelestnie opuścił pokój. Minęło dziesięć minut, znów ktoś zapukał, bardzo cicho. Kiedy otwarłem, za drzwiami stał z uśmiechem na ustach tamten chudy chłopak. Odsunąłem się, żeby zrobić mu przejście, a on wszedł i stanął koło łóżka. Uśmiech nie schodził mu z warg.

- Les nie przypadł panu do gustu, prawda?

- Tak. A on - jest zadowolony?

- No chyba. Wie pan, jacy są ci nasi szefowie. Zawsze muszą wtrącić swoje trzy grosze. Ale to ja jestem Les, panie Dalmas.

- Więc to ty byłeś przy jej odjeździe?

- Jeśli nazywa się Atkins, to nie. Wyjąłem z kieszeni i pokazałem mu fotografię Julii. Przypatrywał się jej długo i uważnie.

- Tamta wyglądała podobnie - powiedział. - Dała mi cztery dziesiątaki, a w takiej dziurze jak nasze miasteczko pamięta się duże napiwki. To była żona Howarda Meltona. Jest też sprawa jej samochodu. Myślę, że więcej nie ma tu o czym mówić.

- Aha. Dokąd pojechała?

- Wynajętą bryczką na dworzec. Dobry pan pija trunek, panie Dalmas.

- Przepraszam. Nalej sobie. Nie kazał się prosić dwa razy.

- Czy pamiętasz coś jeszcze? - zapytałem. - Może miała jakichś gości?

- Nie. Ale coś sobie przypominam. W hallu

zagadnął ją jakiś pan. Wysoki, przystojny goguś. Nie była zachwycona tym spotkaniem.

- Aha. Wyjąłem z kieszeni i pokazałem mu drugą fotografię. Obejrzał ją równie dokładnie.

- Ta tutaj niezbyt ją przypomina. Ale jestem pewien, że to ten gość, o którym mówiłem.

- Aha. Ponownie wziął fotografie i trzymał jedną obok drugiej. Był jakby zdetonowany.

- Tak, proszę pana. To na pewno on - oświadczył.

- Usłużny z ciebie chłopak. Jesteś gotów zapamiętać wszystko, co trzeba.

- Nie rozumiem.

- Nalej sobie jeszcze jednego. Jestem ci dłużny cztery dolce. Razem z tamtym pięć. Wszyscy boje na świecie próbują swoich sztuczek. Nalał sobie odrobinę i obracał szklankę w dłoni, krzywiąc żółtawą twarz.

- Staram się, jak mogę - powiedział twardo. Wypił, w milczeniu odstawił szklankę i ruszył do drzwi.

- Niech się pan udławi tymi pieniędzmi - burknął. Wyjął dolara z kieszonki na zegarek i rzucił go na podłogę.

- Idź pan do wszystkich diabłów - dodał łagodniej. I wyszedł. Wziął obie fotografie, położył je obok siebie i popatrzył na nie ponuro. Po dłuższej chwili poczułem sopel lodu na kręgosłupie. Już raz przedtem doznałem tego przelotnie, ale wtedy zlekceważyłem to dotknięcie. Teraz wróciło na dobre. Podszedłem

do biureczka, wyjąłem kopertę, włożyłem do niej banknot pięciodolarowy, zakleilem, na wierzchu napisałem: "Les". Ubrałem się, wetknąłem butelkę do kieszeni, zabrałem swoją torbę podróżną i wyszedłem z pokoju. W hallu na mój widok poderwał się rudy boy. Les stał bez słowa pod filarem, ze skrzyżowanymi rękoma. Podeszedłem do recepcji i poprosiłem o rachunek.

- Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony recepcjonista. Zapłaciłem i ruszyłem do samochodu, nagle jednak zawróciłem.

- Proszę to dać Lesowi, boyowi z Teksasu - powiedziałem wręczając recepcjoniście kopertę z piątalem. - On jest na mnie w tej chwili wściekły, ale mu przejdzie. Przed drugą w nocy dojechałem do Glendale i począłem się rozglądać za miejscem, skąd mógłbym zatelefonować. Znalazłem stację benzynową czynną całą noc. Wyciągnąłem drobne, zadzwoniłem do informacji i dowiedziałem się, jaki jest numer Meltona w Beverly Hills. Kiedy jego głos dotarł do mnie po drucie, nie sprawiał wcale wrażenia zaspanego.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno - powiedziałem - ale upoważnił mnie pan do tego. Pojechałem śladem pani Melton do San Bernardino i na tamtejszą stację.

- To już wiemy - stwierdził, niezadowolony.

- Zawsze warto sprawdzić. Domek Hainesa zrewidowany. Nic szczególnego. Jeśli myślał



**pan, że on wie, gdzie jest pani Melton...**

**- Nie wiem, co myślałem - przerwał mi surowym tonem. - Po tym, co mi pan powiedział, uważałem, że należy przeszukać jego dom. Czy tylko to ma mi pan do przekazania?**

**- Nie. Zawahałem się.**

**- Miałem zły sen - ciągnąłem.**

**- Przyśniło mi się, że dziś rano w domku przy Chester Lane na krześle widziałem damską torebkę. Było tam dość ciemno z powodu drzew i zapomniałem ją zabrać.**

**- Torebka? Jakiego koloru? Głos miał twardy jak skorupa mięczaka.**

**- Ciemnogrnatowa, może czarna. Słabo było widać.**

**- Wolałbym, żeby pan tam wrócił po nią - rzucił.**

**- Dlaczego?**

**- Za to panu płacę pięćset dolarów, między innymi za to.**

**- Są pewne granice tego, co mogę zrobić za pięćset dolarów, zwłaszcza że ich wcale nie dostałem. Zaklął.**

**- Człowieku! Wiele panu zawdzięczam, ale teraz wszystko zależy od pana i po prostu nie może mnie pan zawieść.**

**- No dobrze, ale tam może kręci się po ganku stado glin. Albo przeciwnie, miejsce jest spokojne jak oswojona pchła. W obu wypadkach nie reflektuję. Mam po prostu dość tego domu. Po drugiej stronie panowała głęboka cisza.**

**- Poza tym uważam - powiedziałem, nabrawszy tchu - że pan wie, gdzie jest pańska żona, panie Melton. Goodwin natknął się na nią w hotelu w San Bernardino. Parę dni temu miał jej czek. Pan spotkał Goodwina na ulicy. Pośrednio pomógł mu pan ten czek zrealizować. Myślę, że pan wie. Myślę, że wynajął mnie pan po to, żebym poszedł jej tropem i sprawdził, czy wszystkie ślady zostały zatarte. Znow zapadło milczenie. A kiedy się odezwał, mówił cicho i pokornie.**

**- Wygrał pan, panie Dalmas. Tak, to był regularny szantaż, ta historia z czekiem. Ale ja nie wiem, gdzie ona się podziewa. Naprawdę. A tę torebkę trzeba odzyskać. Co pan powie na siedemset pięćdziesiąt?**

**- Lepiej. Kiedy dostanę forszę?**

**- Dziś w nocy, jeśli przyjmie pan czek. Gotówką mógłbym mieć do rana najwyżej osiemdziesiąt dolarów. Zawahałem się. Dotknąwszy twarzy stwierdziłem, że się uśmiecham.**

**- Zgoda - oznajmiłem w końcu.**

**- Umowa stoi. Wydobędę tę torebkę, chyba że gromada glin pilnuje domku.**

**- Gdzie pan teraz jest? - spytał z wyraźną ulgą w głosie.**

**- W Azusa - skłamałem. - Będę na miejscu mniej więcej za godzinę.**

**- Niech pan to załatwi - powiedział. - Przekona się pan, że znam reguły gry. Poza tym sam pan się już w to mocno zaangażował.**

**- Przywykłem do kłopotów - stwierdziłem i odłożyłem słuchawkę.**

**\* \* \***

## **VII. Dwa kozły ofiarne**

**Pojechałem przez Chevy Chase Boulevard na Chester Lane, tam, gdzie się zaczyna. Wtedy zgasilem światła i skręciłem w główną aleję doliny. Szybko minąłem zakręt i dotarłem do nowego domu vis-à-vis posesji Goodwina. Ani żywego ducha. Żadnego samochodu przed domem, żadnych śladów zasadzki. Musiałem zaryzykować, nieraz już**

**- i to gorzej - ryzykowałem. Wjechałem na podjazd, wysiadłem i podniosłem odsuwane drzwi garażu. Nie były zamknięte.**

**Wprowadziłem samochód, opuściłem drzwi i przekradłem się na drugą stronę ulicy tak cicho, jakby mnie tropili Indianie. Pod osłoną drzew Goodwina dostałem się na tyły domku i skryłem się za najgrubszym z nich. Siadłem na ziemi, pozwoliłem sobie na łyk whisky. Czas mijał wolno jak na cmentarzu. Oczekiwałem towarzystwa, ale nie wiedziałem, kiedy mam się go spodziewać. Przybyło szybciej, niż przypuszczałem. Po mniej więcej piętnastu minutach jakiś samochód nadjechał od wylotu doliny, dostrzegłem nikły poblask pomiędzy drzewami opodal bocznej ściany domku. Jechał z wygaszonymi światłami. To mi się podobało. Stał gdzieś niedaleko, cicho trzasnęły drzwiczki. Jakiś cień przemknął bezszelestnie koło narożnika domu. Bardzo mały, przynajmniej o głowę niższy od Meltona.**

**Zresztą Melton nie zdążyłby tak szybko dojechać z Beverly Hills. Po chwili cień znalazł się koło drzwi kuchennych, które otwarły się, a gdy cień znikł w głębokim mroku, zamknęły cicho. Wstałem i przeszedłem na palcach przez miękki, wilgotny trawnik. Wszedłem bezszelestnie do sieni pana Goodwina, a stamtąd do kuchni. Stałem, pilnie nasłuchując. Ani dźwięku, ani światła. Wyjąłem spod pachy rewolwer i zacisnąłem palce na kolbie. Oddychałem płytko, samymi szczytami płuc. Wtem zdarzyło się coś dziwnego. Pod wahadłowymi drzwiami do pokoju pojawiła się smuga światła. Cień zapalił lampę. Bez troski cień! Przeszedłem przez kuchnię, pchnąłem skrzydło drzwi i przytrzymałem. Światło sączyło się do jadalni z oddzielonego arkadą saloniku. Ruszyłem w tę stronę, nierozważnie, jakże nierozważnie. Zatrzymałem się w przejściu.**

**- Rzuć to i idź dalej - odezwał się jakiś głos na wysokości mojego łokcia. Spojrzałem na nią. Była drobna, ładna jak z żurnala, a jej pistolet mierzył we mnie nieustępliwie.**

**- To nie było zbyt mądre - stwierdziła - prawda? Rozwarłem dłoń i rewolwer upadł na podłogę. Postąpiłem jeszcze cztery kroki i zawróciłem.**

**- Nie - przyznałem. Kobieta więcej się nie odezwała. Zrobiła kilka kroków, obchodząc rewolwer i stanęła do mnie twarzą. Spojrzałem ponad jej ramieniem na fotel ze stołeczkiem w rogu pokoju. Na stołeczku nadal spoczywał biały**

**pantofel. Pan Lance Goodwin wciąż siedział niedbale w fotelu, z lewą ręką na szerokiej brokatowej poręczy i prawą zwisającą nad leżącym na podłodze damskim pistoletem. Ostatnia kropla krwi zastygła na brodzie. Była czarna, twarda i wieczna. Jego twarz nabrała woskowej barwy. Przyjrzałem się teraz kobiecie. Miała na sobie starannie wyprasowane niebieskie spodnie, dwurzędowy żakiet i kapelusik, wciśnięty na bakier. Jej włosy były długie, na końcach podkręcone, ciemnorude z niebieskawym połyskiem - farbowane. Czerwone plamy pośpiesznie, nienaturalnie wysoko nałożonego różu barwiły jej policzki. Trzymała mnie na muszce i wciąż się uśmiechała. Nie był to najmilszy uśmiech pod słońcem.**

**- Dobry wieczór, pani Melton - powiedziałem. - Musi pani mieć niezłą kolekcję broni.**

**- Niech pan siada na tamtym krześle, za panem, splecie ręce na karku i nie opuszcza ich pod żadnym pozorem. To bardzo ważne. Nie radzę tego zlekceważyć. Odśloniła zęby, aż po dziąsła. Posłuchałem jej rady. Uśmiech opuścił jej twarz**

**- małą, zaciętą twarzyczkę, zresztą, w konwencjonalny sposób, nawet ładną.**

**- Proszę czekać, tylko czekać**

**- dodała. - To też bardzo ważne. Może pan się domyśli, jak bardzo ważne.**

**- Ten pokój cuchnie śmiercią. Myślę, że to też bardzo ważne.**

- Tylko czekaj, mądralo.

- Na terenie tego stanu obecnie nie wieszają już kobiet. Ale dwa trupy kosztują więcej niż jeden. Dużo więcej. Może z piętnaście lat więcej. Niech pani o tym pomyśli. Nic nie powiedziała. Stała pewnie, trzymając pistolet. Był cięższy od tamtego, ale ona bodaj się tym nie przejmowała. Uszy nastawiła na daleki dystans. Mnie ledwie słyszała. A czas mijał, jak zwykle, bez względu na wszystko. Zaczynały mnie boleć ręce. W końcu się pojawił. Kolejne auto podjechało powoli od strony ulicy, zatrzymało się i cicho zamknięto drzwiczki. Przez chwilę panowała cisza, potem otwarły się drzwi kuchenne. Ciężkie męskie kroki. Przybysz minął wahadłowe drzwi i wszedł do oświetlonego salonu. Stał w milczeniu, rozglądając się, szerokie czoło miał mocno zmarszczone. Popatrzył na nieboszczyka w fotelu, potem na kobietę z pistoletem, wreszcie na mnie. Schylił się po mój rewolwer i włożył go do kieszeni marynarki. Zbliżył się spokojnie, jakby mnie nie poznawał, stanął z tyłu i obmacał mi kieszenie. Wyjął dwie fotografie i telegram. Potem ruszył w stronę kobiety i stanął w pobliżu. Opuściłem ręce i roztarłem palce. Oboje patrzyli na mnie bardzo spokojnie.

- Sztuczka się nie udała - odezwał się w końcu cicho. - Najpierw sprawdziłem u telefonistki, że dzwonił pan z Glendale, a nie z Azusa. Nie wiem czemu, ale sprawdziłem. Potem sam

**zadzwoń i dowiedziałem się, że w tym pokoju nie została damska torebka. No więc?**

**- Co mam wam powiedzieć?**

**- Po co te sztuczki? O co tu chodzi? Głos miał twardy i zimny, ale raczej zaciekawiony niż groźny. Kobieta stała obok niego, bez ruchu, trzymając wycelowany pistolet.**

**- Zaryzykowałem - stwierdziłem. - Pan też zaryzykował, przyjeżdżając tutaj. Nie miałem wielkiej nadziei, że się uda. Pomysł był taki: pan zadzwoni do niej w sprawie torebki. Ona będzie wiedziała, że torebki nie zostawiła. Oboje będziecie wiedzieli, że próbuję coś namotać. Oboje będziecie ciekawi, o co chodzi. Będziecie też prawie pewni, że nie współpracuję z policją, ponieważ wiedziałem, gdzie pana szukać, i można by tam pana przymknąć bez najmniejszego trudu. A ja chciałem, żeby pani wyszła z ukrycia - i tyle. Zaryzykowałem. Gdyby się nie udało, poszukałbym innego sposobu. Kobieta prychnęła wzgardliwie.**

**- Chciałabym wiedzieć, po co w ogóle wynajmowałeś tego natręta, Howie - powiedziała. Nie zwrócił na nią uwagi. Patrzył na mnie czarnymi, kamiennymi oczyma. Obróciłem nieco głowę i mrugnąłem do niego szybko, ale wyraźnie. Natychmiast zacisnął wargi. Kobieta tego nie widziała. Była zanadto z boku.**

**- Szuka pan kozła ofiarnego, panie Melton. Nieładnie. Odwrócił się nieco, tak że stał prawie**



tyłem do niej. Wzrokiem pożerał moją twarz. Leciutko uniósł brew i niedostrzegalnie skinął głową. Nadal uważał, że jestem do kupienia. Ładnie to zrobił. Przywoławszy uśmiech na twarz, odwrócił się do kobiety.

- Może zabierzemy się stąd i omówimy sprawę w bezpieczniejszym miejscu? - zaproponował. A kiedy się zastaanawiała, wielkim łapskiem chwycił ją za nadgarstek. Krzyknęła, pistolet upadł na podłogę, a ona zatoczyła się, zacisnęła pięści i plunęła na mężczyznę.

- Fe, usiądź i opanuj się trochę - rzucił oschle Melton. Sam pochylił się, podniósł jej pistolet i schował go do drugiej kieszeni. Uśmiechnął się szeroko, wielce z siebie zadowolony. O jednym kompletnie zapomniał. O mało nie wybuchłem śmiechem - i to w takim miejscu. Kobieta opadła na stojący za Meltonem fotel i ukryła twarz w dłoniach.

- Teraz może mi pan powiedzieć

- stwierdził pogodnie Melton. - Dlaczego uważa pan, że szukam kozła ofiarnego.

- Trochę panu nakłamałem wtedy przez telefon. O domku Hainesa. Był tam niegłupi miejscowy gliniarz, który przesiał domek przez sito. W worku na mąkę znalazł złoty łańcuszek na nogę, przecięty szczypcami. Kobieta wydała dziwny skowyt. Melton nawet nie spojrzał w jej stronę. Ona natomiast wpatrywała się we mnie z nateżeniem.

- Może się zorientował - powiedziałem - a może

**nie. On przede wszystkim nie wie, że pani Melton zatrzymała się w hotelu Olimpia i że spotkała tam Goodwina. Gdyby wiedział, nie musiałby się dwa razy zastanawiać. Zwłaszcza gdyby mógł pokazać boyom zdjęcia, tak jak ja to zrobiłem. Boy, który był przy odjeździe pani Melton i zapamiętał ją z powodu samochodu pozostawionego bez żadnych wskazówek, zapamiętał też Goodwina i to, że Goodwin coś do niej mówił. Powiedział, że była zaskoczona. Nie miał natomiast pewności co do pani Melton na zdjęciach. On znał panią Melton. Melton otworzył usta w dziwnym grymasie i powoli zwarł zęby. Kobieta za jego plecami wstała bezszelestnie i zaczęła się wycofywać, krok za krokiem, do pogrążonej w mroku części pokoju. Wcale na nią nie patrzyłem. Melton bodaj nic nie słyszał.**

**- Goodwin śledził ją do miasta**

**- ciągnąłem. - Musiała przyjechać autobusem albo wynajętym samochodem, bo swój zostawiła w San Bernardino. Śledził ją aż do samej kryjówki, niczym się nie zdradziwszy, co musiało być nie lada sztuką, bo pani Melton na pewno się dobrze rozglądała, a potem wkroczył do akcji. Ona najpierw go zwodziła**

**- nie mam pojęcia, jaką historyjką - ale on najwyraźniej nie spuszczał jej z oka, ponieważ nie udało się jej wymknąć. Kiedy już dłużej nie mogła tego ciągnąć, dała mu czek. To była tylko zaliczka. Zażądał następnych, a wtedy ona**

zapłaciła mu za wszystko - tam w tym hotelu. Pan o tym nie wiedział, inaczej nie wysłałby mnie pan dziś rano do tego domu. Melton uśmiechnął się ponuro.

- Tak - stwierdził - o tym nie wiedziałem. I to dlatego szukam kozła ofiarnego? Potrząsnąłem głową.

- Mam wrażenie, że nie chce mnie pan zrozumieć. Powiedziałem, że Goodwin znał panią Melton. To nie nowina, prawda? Jaki haczyk mógłby mieć na panią Melton, żeby ją szantażować? Żaden. On nie szantażował pani Melton. Pani Melton nie żyje. Nie żyje od jedenastu dni. Wyłowiono ją dzisiaj z jeziora Little Fawn - w ubraniu Beryl Haines. Do tego właśnie potrzebny był kozioł ofiarny - i oto on, a nawet dwa. Kobieta pochyliła się i coś podniosła w mrocznym kącie, a potem ruszyła naprzód. Głośno oddychała. Melton odwrócił się niezdarnie i wetknął ręce do kieszeni, ale wahał się o sekundę za długo, wpatrzony w pistolet, który ona podjęła z podłogi, gdzie leżał poniżej martwej dłoni Goodwina. Oto właśnie ta rzecz, o której zapomniał.

- Ty skurwielu! - powiedziała. Melton specjalnie się nie przestraszył. Robił uspokajające gesty pustymi rękoma.

- Dobrze, kochanie, rozegramy to tak, jak ty chcesz - rzekł cicho. Miał długie ręce. Mógł jej dosięgnąć. Już raz tak zrobił, kiedy trzymała broń. Spróbował i tym razem. Rzucił się w jej

stronę, wyciągając rękę. Odbiłem się jedną nogą od podłogi i poleciałem, celując w jego nogi. To był długi lot - za długi.

- Byłabym niezłym kozłem ofiarnym, co? - rzuciła chrapliwym głosem i cofnęła się o krok. Pistolet po trzykroć zadudnił. Naszpikowany kulami Melton runął na nią i przygniótł ją do podłogi. O tym też powinna była pomyśleć. Grzmotnęli oboje, jego potężne ciało przywaliło ją. Kobieta jęknęła, a jej ręka trzymająca pistolet zadrgała. Wybiłem jej broń z dłoni. Sięgnąłem Meltonowi do kieszeni i wyciągnąłem swój rewolwer, potem odskoczyłem od nich i usiadłem. Poczulem sopel lodu na karku. Siedziałem z rewolwerem na kolanach i czekałem. Potężna łapa Meltona wyciągnęła się, zacisnęła na nóżce sekretarzyka w kształcie szponów i zbielała. Ciało wygięło się w łuk i skuliło, a kobieta znów jęknęła. Po chwili przetoczyło się na plecy i oklapło, a ręka puściła szponiastą nóżkę. Palce rozprostowały się powoli i legły bezwładnie na puszystym dywanie. Słyszeć było zdławiony charkot - w końcu zapadła cisza. Kobieta wyczołgała się spod ciała i zerwała na równe nogi, ciężko dysząc, ze wzrokiem szczonego zwierzęcia. Potem bez słowa odwróciła się na pięcie i uciekła. Nie zrobiłem najmniejszego ruchu. Po prostu pozwoliłem jej uciec. Podszedłem i nachyliłem się nad rozciągniętym cielskiem. Przycisnąłem palec do szyi. Stałem cicho, starając się namacać

puls i nasłuchiwałem. Potem wyprostowałem się z wolna i dalej wyęczałem słuch. Żadnego dźwięku, ani syren, ani samochodów, nic zgoła. Tylko martwa cisza tego pokoju. Wcisnąłem rewolwer do kabury, zgasilem światło, otworzyłem drzwi frontowe i ścieżką doszedłem do chodnika. Na ulicy panował bezruch. W ślepych zaułku za domem Goodwina, przy krawężniku, koło hydrantu, stał duży samochód. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, wyprowadziłem swoje auto z garażu nowego domu, zasunąłem drzwi i pojechałem z powrotem nad jezioro PUma. Viii. Tinchfield nadal posterunkowym Domek stał na polanie, za którą rosła kosodrzewina. Garaż wielki jak stodoła, wypełniony z prawej strony drzewem opałowym, był otwarty, a w jego wnętrzu błyszczał w porannym słońcu samochód Tinchfielda. Wytyczona drewnianymi palikami ścieżka wiodła do drzwi domku, z komina snuł się dym. Otworzył mi Tinchfield we własnej osobie. Miał na sobie stary popielaty golf i spodnie khaki. Jego twarz była świeżo wygolona, gładka jak u dziecka.

- No cóż, wejdź, synu - powiedział spokojnie. - Widzę, że wcześniej zaczynasz pracę. Tak więc wczoraj wieczorem nie pojechałeś do miasta? Minąłem go w drzwiach, a po chwili zasiadłem w starym bostońskim fotelu na biegunach z szydełkowanym podglówkiem. Kołysząc się fotel skrzypiał swojsko.

- **Kawa zaraz się zaparzy - oznajmił dobrotliwie Tinchfield.**
- **Emma przyniesie dla ciebie talerz. Jesteś chyba kompletnie wykończony, synu.**
- **Wróciłem do doliny - powiedziałem. - Właśnie stamtąd jadę. Wczoraj w jeziorze to nie była Beryl Haines.**
- **O la, la - rzekł Tinchfield.**
- **Nie sprawia pan wrażenia zaskoczonego - mruknąłem.**
- **W ogóle dość trudno mnie zaskoczyć, synu. Zwłaszcza przed śniadaniem.**
- **To była Julia Melton - wyjaśniłem. - Zamordowali ją Howard Melton i Beryl Haines. Ubrali ciało w rzeczy Beryl i umieścili pod podestem mola, sześć stóp pod powierzchnią wody, po to, żeby przestała przypominać Julię Melton. Były dość podobne z wyglądu, obie blondynki, mniej więcej tego samego wzrostu. Bill twierdzi, że mogły uchodzić za siostry. No, może nie za bliźniaczki.**
- **Tak, były dość podobne - przyznał Tinchfield, patrząc na mnie z powagą. - Emmo! - zawołał po chwili. Tęga kobieta w perkalowej sukience otworzyła drzwi do kuchni. Miała na sobie olbrzymi biały fartuch, zawiązany wokół czegoś, co niegdyś było talią. Za nią wtargnął zapach kawy i smażonego boczku.**
- **Emmo, to jest detektyw Dalmas z Los Angeles. Przynieś jeszcze jeden talerz, a ja odsunę stół od ściany. On jest diabelnie zmęczony i głodny.**

**Tęga kobieta skinęła głową, uśmiechnęła się i położyła na stole dodatkowe nakrycie.**

**Usiedliśmy do śniadania, pałaszowaliśmy jajka na boczku i gorące placki, dzbankami piliśmy kawę. Tinchfield wcinał za czterech, natomiast jego żona jadła jak ptaszek i skakała jak ptaszek, wciąż przynosząc nowe porcje.**

**Wreszcie skończyliśmy, pani Tinchfield zebrała talerze i zamknęła się w kuchni. Szeryf ukroił sobie grubą prymkę, wetknął ją ostrożnie do ust i rozparł się w bostońskim fotelu.**

**- No dobrze, synu - powiedział**

**- myślę, że teraz mogę cię wysłuchać. Trochę mnie niepokoił ten łańcuszek w mące, podczas gdy pod bokiem jest przecież jezioro. Ale ja myślę powoli. Dlaczego sądzisz, że Melton zamordował żonę?**

**- Bo Beryl Haines nadal żyje, tylko włosy ufarbowała na rudo. Opowiedziałem mu całą historię, punkt po punkcie, niczego nie ukrywając. Nie odezwał się, póki nie skończyłem.**

**- No dobrze, synu - rzekł wówczas - odwaliłeś tu jako detektyw kawał dobrej roboty, parę razy miałeś trochę szczęścia, ale bez tego nikt z nas daleko by nie zaszedł. Tylko jaki był w tym wszystkim twój interes.**

**- Żaden. Ale Melton najpierw mnie podpuścił, a potem chciał mnie zrobić. A ja jestem pamiętliwy.**

**- Jak sądzisz, po co Melton cię wynajął?**

**- Musiał. To była istotna część jego planu, żeby w końcu właściwie zidentyfikować ciało. Może nie od razu, dopiero po pogrzebie i zamknięciu sprawy. Ostatecznie jednak był zmuszony przeprowadzić identyfikację, żeby dostać się do pieniędzy żony. Inaczej musiałby latami czekać, aż sąd uzna ją za zmarłą. A jeśli chciał, żeby prawidłowo zidentyfikowano zwłoki, musiał wykazać, że czynił starania o odnalezienie Julii. Jeśli, jak twierdzi, jego żona była kleptomanką, miał dobry pretekst, żeby wynająć prywatnego detektywa, a nie chodzić na policję. Coś jednak musiał zrobić. Było też zagrożenie ze strony Goodwina. Może planował, że zabije Goodwina i że mnie w to wmiesza. Z pewnością nie wiedział, że Beryl już go w tym względzie uprzedziła, inaczej nie posyłałby mnie do jego domku. W końcu zaś - a ja byłem na tyle głupi, że przyjechałem tutaj, nie zawiadomiwszy policji w Glendale o śmierci Goodwina - myślał, że uda mu się mnie przekupić. Samo morderstwo było dość proste, dochodził też jeden jeszcze aspekt, o którym Beryl nie wiedziała albo nie myślała. Przypuszczam, że była w nim zakochana. Biedna kobieta, żona pijaczyny, mogła polecieć na takiego faceta jak on. Melton nie mógł wiedzieć, że ciało zostanie wyłowione akurat wczoraj, to był czysty przypadek, miał zamiar dalej mnie zatrudniać i podsuwać kolejne poszlaki, aż ciało zostanie znalezione. Wiedział, że podejrzenie o morderstwo padnie na Hainesa,**



a kartka, którą zostawiła Beryl, tak była sformułowana, żeby nie zupełnie wyglądała na list samobójczyni. Melton wiedział też, że jego żona i Haines mają się ku sobie. On i Beryl wyczekiwali odpowiedniej pory. Kiedy Haines pojechał się upić na północny brzeg jeziora, Beryl musiała go o tym skądś powiadomić przez telefon. Myślę, że będzie pan to mógł sprawdzić. Mógł się tu zjawić w trzy godziny, jeśli szybko jechał. Julia była pewnie zalana. Melton ją rąbnął, przebrał w rzeczy Beryl i wrzucił do jeziora. To potężny facet, mógł to swobodnie zrobić bez niczyjej pomocy, sam jeden. Beryl zapewne stała na czatach przy jedynej drodze wiodącej do jeziora. Dzięki temu Melton mógł podrzucić łańcuszek w domku Hainesów. Potem wrócił do miasta, a Beryl ubrała się w rzeczy Julii, wzięła jej walizkę i jej samochód i pojechała do hotelu w San Bernardino. Tam miała pecha, bo spotkała Goodwina, który musiał się zorientować, że coś tu nie gra, albo po ubraniu, albo po walizce, albo też usłyszał, że służba nazywa ją panią Melton. Zaczął ją śledzić, a resztę już pan zna. Z faktu, że Melton namówił Beryl na ten fałszywy trop, wynikają moim zdaniem dwie rzeczy. Po pierwsze, że chciał odczekać jakiś czas, zanim ciało zostanie właściwie zidentyfikowane. Można się było z wielkim prawdopodobieństwem spodziewać, że policja uzna je za zwłoki Beryl Haines na podstawie słów Billa, zwłaszcza że stawiały go

**one w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Po drugie, wynika z tego, że po właściwej identyfikacji zwłok fałszywy trop pozostawiony przez Beryl sprawi wrażenie, iż ona i Bill popełnili morderstwo, żeby zgarnąć premię ubezpieczeniową Beryl. Myślę, że Melton popełnił gruby błąd, ukrywając łańcuszek w worku z mąką. Powinien był wrzucić go do jeziora, czymś obciążony, a potem, niby przypadkiem - wyłowić. Przedobrzył sprawę, chowając łańcuszek w domku Hainesa i pytając mnie, czy domek przeszukano. Ale tak to bywa przy morderstwach z premedytacją. Tinchfield przesunął językiem prymkę w drugi koniec jamy ustnej i podszedł do otwartych drzwi, żeby splunąć. Stał w nich z rękoma splecionymi z tyłu.**

**- Nie miał żadnego haczyka na Beryl - rzucił przez ramię. - Pod warunkiem, że ona trzymałaby język za zębami. Myślałeś o tym, synu?**

**- Jasne. Z chwilą gdy policja zaczęłaby jej szukać, a sprawa trafiłaby na pierwsze strony gazet, to znaczy właściwa sprawa, musiałby stuknąć Beryl i upozorować samobójstwo. Myślę, że to mogłoby się udać.**

**- Nie powinieneś pozwolić tej tam morderczynie zbiec, synu. Są jeszcze inne rzeczy, których nie powinieneś być robić, ale ta jedna jest najgorsza.**

**- Czyja to sprawa? - zachnąłem się. - Pańska czy policji w Glendale? Beryl i tak wpadnie. Zabiła**

**dwóch mężczyzn i przejedzie się na następnej swojej sztuczce. Zawsze tak się dzieje. W tej sprawie istnieje rozległy materiał dowodowy, trzeba tylko do niego dotrzeć. Ale to robota dla policji, nie dla mnie. Sądziłem, że ubiega się pan o ponowny wybór, a ma pan przecież kilku młodych kontrkandydatów. Nie wróciłem tu dla samego tylko górskiego powietrza. Odwrócił się i popatrzył na mnie szelmowsko.**

**- Tak właśnie przypuszczałem, iż sobie pomyślisz, że ten stary Tinchfield okaże się mięczakiem i uchroni cię przed ciupą, synu. Zaśmiał się i klepnął po kolanach.**

**- Tinchfield nadal posterunkowym! - zagrział na całą okolicę. - Masz zupełną rację, że mnie wybiorą. Byliby głupi, gdyby tego nie zrobili po tym wszystkim. Kopnijmy się na posterunek i zadzwońmy do prokuratora w San Bernardino. Westchnął.**

**- Trochę za sprytny był ten Melton - stwierdził. - Ja lubię prostych ludzi.**

**- Ja też - powiedziałem. - I dlatego tu jestem. Złapali Beryl Haines na trasie Kalifornia - Oregon, kiedy w wynajętym samochodzie skręcała na południe do Yreki. Lotny patrol zatrzymał ją w ramach rutynowej kontroli owoców na granicy między stanami, ale ona o tym nie wiedziała. Od razu wyciągnęła pistolet. Miała ze sobą bagaż Julii Melton, ciuchy Julii Melton i książeczkę czekową Julii Melton z dziewięcioma czystymi czekami, opatrzonymi**

**imitacjami oryginalnego podpisu Julii Melton. Okazało się, że czek zrealizowany przez Goodwina był też sfalszowany. Tinchfield i prokurator okręgowy wstawili się za mną u policjantów z Glendale, ale ci i tak nieźle dali mi się we znaki. Violets M'Gee uraczył mnie długą i soczystą połajanką, a od nieboszczyka Howarda Meltona dostałem to, co mi zostało z pięćdziesięciu dolarów zaliczki. Tinchfield wprawdzie pozostał posterunkowym, ale z trudem zdobył wymaganą większość głosów.**

**KONIEC→**